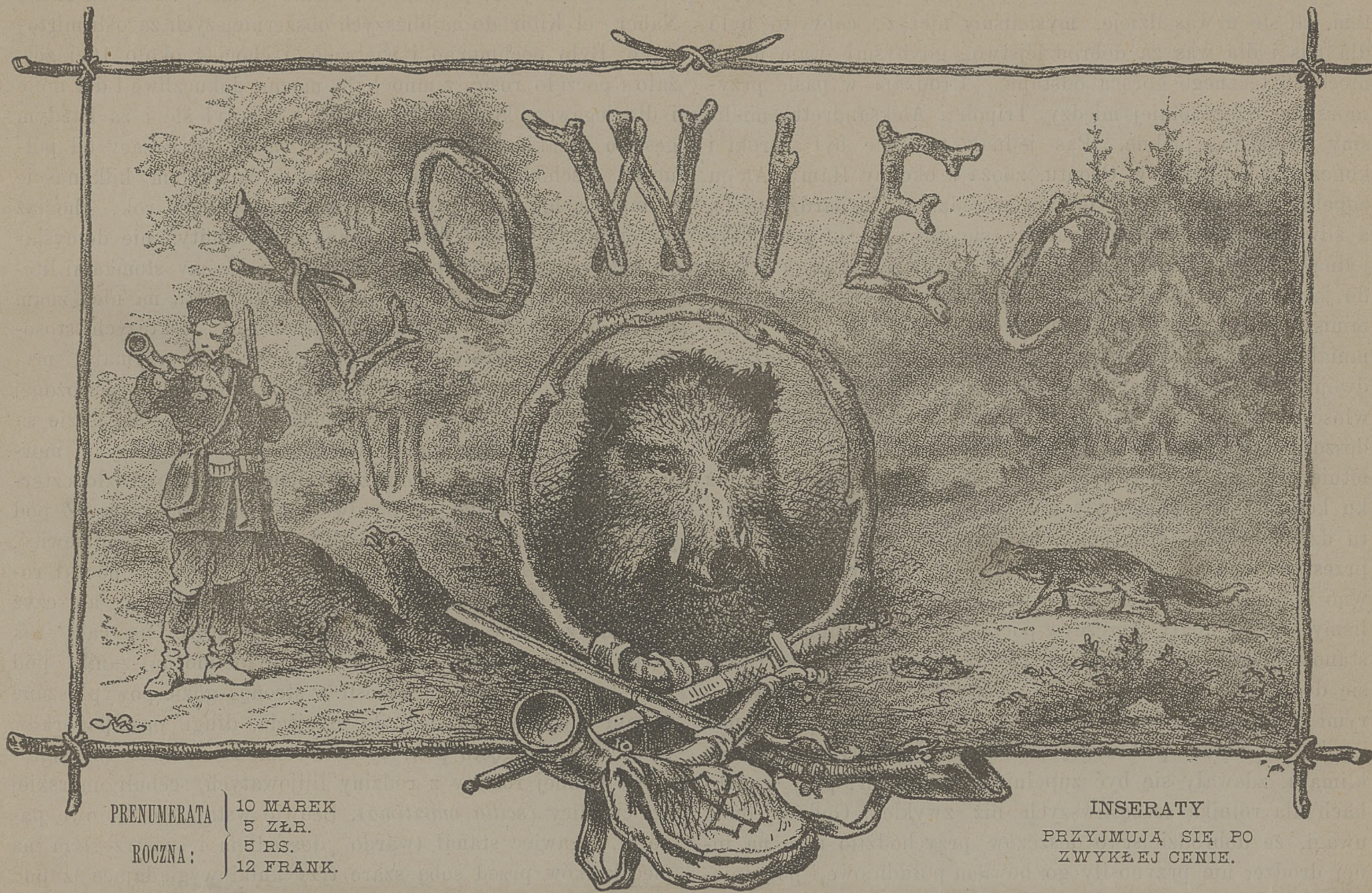
Nr. 6. Lwów, dnia 1. Czerwca 1880. Rok III.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 MAREK, 5 ZŁR., 5 RS., 12 FRANK.

INSERATY PRZYJMUJĄ SIĘ PO ZWYKŁEJ CENIE.

WYCHODZI Z POCZĄTKIEM KAŻDEGO MIESIĄCA.

SPRAWY GALIC. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wpisali się do Towarzystwa łowieckiego:

Jasieński Henryk dr. Majewski Władysław. Wiśniewski Tadeusz hr. Wysocki Zdzisław.

POLOWANIE NA SŁOMKI
W SYRYI PÓŁNOCNEJ R. 1879 i 1880

PRZEZ

KAROLA BRZOZOWSKIEGO. *)

U nas w Syryi tak jak wszędzie w Europie, rok ubiegły policzyć się może pod względem metereologicznym do lat nadzwyczajnych. I my mieliśmy niezasłyszane, niezapisane w pamięci najstarszych ludzi niespodzianki, z tą jednak różnicą, że spadły na nas dopiero w samym końcu roku *uti fur*, jak złodziej niczem na pozór niezapowiedziany. Mówię na pozór, bo uważny badacz, przestrzeżony przez dzienniki o tem, co się działo w innych krajach, mógł spostrzedz, że i tu zachodziły już zmiany niezwykłe metereologiczne. I tak: wiatry odmieniały często kierunek w porach, w których on bywa bardzo regularny i wyłącznie panujący, błędne chmury tak zbawiennie umniejszające działanie wysoko tu podniesionego słońca, a charakterystyczne w pasie naszym przymorskim, były mniej liczne, a często nawet przez wiele dni z rzędu spostrzegać się dawał brak ich zupełny. Rzecz naturalna, że z przyczyn nam niewiadomych ulotnianie się wód morskich pomimo upałów nie było dostatecznem do wytworzenia tych chmur dobroczynnych. Ilość też wilgoci w powietrzu zeszłego lata była mniejszą, o czem przekonywał nas ciągle brak jego przezroczystości. Niebo było szare, zarysy niedalekich gór, najwyższe ich nawet szczyty, widne bywały jasno ledwie w godzinach wschodowych słońca, a potem zakrywały się drżącą, prawie nieprzejrzystą zasłoną. Objawów elektrycznych było mało, jesienne i zimowe deszcze pozbawione były majestatycznej grozy ślepiących, bengalskich błyskawic, piorunów i gromów, huków wstrząsających ziemię zda się aż do jej wnętrzności. Zjawiska te, któremi rok zeszły wyróżnił się od lat zwykłych, przemijały niezwracając

*) Wielce ciekawą i nauczającą relacyę poety naszego, wice-konsula hiszpańskiego, o słonce w Syryi, zawdzięczamy życzliwości szczerej dla „Łowca“ pana E. Simona.

niczyjej uwagi, skarzyliśmy się tylko na upały, i czytając o tem, co się u was dzieje, myśleliśmy nieraz, coby to było dla nas i dla was za dobrodziejstwo, gdybyśmy wam mogli nieco zbytecznego gorąca odstąpić. Urodzaje w pasie przymorskim, szczególniej między Tripoli i Aleksandrettą mieliśmy wyjątkowo piękne. Pas jednak ten nie był szeroki i kończył się u brzegów Orontu, zboża w okolicy Hamy, Alepu zupełnie nie dopisały. Owoców wszędzie było bardzo mało, a śliwek nigdzie, rzadko znalazły się oliwnice, któreby dały jedną siódmą zwyczajnego zbioru. Okolica Lattakii w nędzy, do jakiej ją przyprowadziła szarańcza i gorsza od niej administracya turecka, odetchnęła nieco, bo nie tylko, jak wspomniałem, był urodzaj wyjątkowy, ale i ceny więcej niż podwójne. Z gorączkowym pospiechem handlarze, szczególniej włoscy, zakupowali pszenicę zaraz po sprzęcie. Pierwsze deszcze jesienne, bez których roli zopoczonej przez posuchy letnie orać nie można, przyszły o miesiąc wcześniej, bo już ku końcowi Września, były nie miejscowe, i jak się zwykle tu dzieje krótkie, sznurkowe, nawalne, ale zagarniały wielkie przestrzenie, i po kilkanaście godzin bez przerwy rosiły równo i obficie. Temperatura wysoka zniżała się nieco, mieliśmy jednak upały jeszcze w początku Października. Korzystano z deszczów, i rolnik zachęcony wywozem zboża rzucił się do uprawy i zasiewów. Po pierwszych deszczach, za którymi od czasu do czasu nawidzały nas i inne, cały Listopad i połowa Grudnia pod względem metereologicznym tutejszego klimatu, zdawały się być zupełnie normalnymi, przy warunkach dla rolnika szczęśliwszych niż zwykle. Godne jednak uwagi, że dobrodziejstwo deszczów przychodziło nam na innej drodze, nie przynosiły go bowiem południowe i południowo-zachodnie wiatry, ale przeważnie, prawie bez wyjątku północne i północno-zachodnie. W Listopadzie i w Grudniu barometry poczęły fałszywymi być prorokami, i tu jak i u was zachwiała się wiara w ich nieomylność. Mam i ja jeden, z którym się nie rozstaję nigdy, wszędzie i zawsze noszę go z sobą, szczególniej odznaczał się czułością zapowiadając mi zmiany częstokroć więcej niż o całą dobę wcześniej od najlepszych barometrów. I mój ten czuły i sumienny wykierował się po prostu na łgarza. Barometrem tym jest blizna po kuli.

Po Bożem Narodzeniu 27 Grudnia nawidził nas deszcz po ciepłym wietrze południowym, zagrzmiało nawet parę razy (jedyne grzmoty całej zimy), padało całą dobę, wiatr zmieniał się często. 28 deszcz przechodowy, pod wieczór wiatr północno-wschodni zapanował stale, temperatura oziębiła się i w nocy deszcz zmienił się w ulewę z gradem. Nadedniem deszcz ustał, i kiedy o 7ej rano 29go wyszedłem na świat Boży, z podziwieniem ujrzałem wszystkie okoliczne góry zabielone śniegiem i rzecz niesłychana pokrywającym nawet podgórza. Wody pomniejsze zamarzły, pokazywano sobie jako osobliwość kawały lodu do dwóch centimetrów grubości, termometr 100-stopniowy znaczył 3.5 poniżej zera.

Domośląjąc się, że śnieg musiał zagnać słomki*) z gór na niższe miejsca, pojechałem konno o milę drogi za rzekę Naher - el Kibir do najbliższych obszerniejszych zarośli mirtowych. Było pochmurno i wietrzno, i chociaż około 10ej zelżało i poczęło rosić, zimno było mocno dokuczliwe i dla mnie i dla legawca, który mało szukał, kurczył się i za każdym gęstym krzakiem przysiadał, zakrywając się drzący od północno wschodniego wiatru. Słomek znalazłem kilkanaście w miejscach, gdzie je zwykle znajdowałem co rok, chociaż mniej liczne, i osądziłem, że nalot jest obfity, nie domyślając się jednak przez parę godzin, że jesteśmy słomkami literalnie zalani. Polując tu od lat kilkunastu na nie, znam dobrze ich obyczaje i znam miejscowości, w których stosownie do pory dnia i pogody przeważnie sie trzymają, myślałem więc, że w dzień pochmurny, zimny, przy zmrożonej ziemi, szukać ich trzeba wyłącznie w zaroślach, gdzie są źródliska nie zamarzające. Rzeczywiście w dziesięciu morgach mirtowych krzaczków znalazłem słomek przeszło czterdzieści porywających się po dwie, po trzy od razu. Z pod jednej kryniczki strzałem do krzyka wypłoszyłem dziewięć, z których dwie ubiłem jednym nabojem. Deszcz począł rosić gęściej, kilka już razy strzelba mnie zawiodła, ale czyż podobna zostawić tak liczne ptaki, na które się cały rok czeka? Poszedłem więc kryjąc jak było można zamki pod połę kapoty do drugich zarośli w stronę, gdzie powypłaszane słomki ciągnęły. Miałem do przejścia długi pas pagórków piaszczystych, gęsto pokrytych liściem *asphedelów* (złotogłowów) i innej rośliny z rodziny lilijowatych, cebuli morskiej cz. ćwiklicy *(scilla maritima)*. Ledwie wstąpiłem na owe pagórki, legawiec stanął twardo, doszedłem i spostrzegłem na pięć kroków przed sobą szare trzy kulki wyglądające z pod liści, czem były, poznałem po owych paskach jaśniejszych, którymi się zdobi głowa słomki. Chciałem się cofnąć i strzelić do siedzących; trzy owe kulki stykały się prawie, a na 30 kroków musiałby śrót cienki wszystkie ogarnąć, ale przyznam się, wstyd mnie wziął tak strzelać, — w górę więc latawce! paf, psztyk — i na jednej się skończyło. Niezapomnę nigdy tych piasków, na których sobie tyle krwi napsułem, nie można było trzydziestu kroków zrobić bez wypłoszenia przynajmniej dwóch słomek, a tu zaledwie trzeci, czwarty kabzel wypala! Wykręcałem kominki, przetykałem je igłą, przecierałem w środku piórkami, pomagało to na raz, na dwa, i znowu psztyk i psztyk! Na chwilę się wypogodziło, cóż kiedy mi kabzli zabrakło. Jakiś Turek przejeżdżał konno, na chybił trafił zapytałem go, czy nie ma kabzli? — „Mam effendim!“ — Po długiem szukaniu po kieszeniach znalazł ich pięć, i pięć mi słomek dorzucił do torby. Było zaledwie po pierwszej, rad nie rad siadłem na konia i tem się pocieszyłem, że i tak nie możnaby polować, bo zachmurzyło się znowu, wiatr się wzmógł i począł prószyć śnieg, ale śnieg drobny, suchy, nie czepiający się odzieży. Zbliżając się ku miastu usłyszałem ożywioną palbę, jakby ogień tyralierski. Domyśliłem się, co się święci — to miasto poluje w oliwnych sadach, którymi jest otoczone. Było tak rzeczywiście, kto tylko miał jaką rusznicę, spieszył do sadów, a cóż to było za święto dla miejskich strzelców, polujących tylko na dzierlatki, a w zimie na drozdy spiewaki, skradających się do nich od oliwki do oliwki i przychodzących wreszcie do strzału — na setnem drzewie; cóż to więc za święto było dla tych wszystkich Nemrodów, kiedy droździki na ziemi dawały się podchodzić na dziesięć kroków, i pod każdym murem ogrodu, pod każdem drzewem pełno ich było, kiedy do tego i słomki równie prawie liczne po rolach oliwnic po-

*) Słonka po turecku zowie się *czułłuk* lub *sułłuk*. I moskiewskie *słuka* i nasza *słonka*, *słomka* mają wspólny źródłosłów, którym nie jest ani słowo ani słońce. Piszący *słonka* chociaż nie wiedzą dla czego, bliżsi są źrodłosłowu prawdziwego. Aby go uwydatnić, potrzeba pisać nie on lecz ą lub ę, nie *słonka* więc lecz *słąka* lub *słęka*, a to wychodząc z tej zasady, że w polskim języku zawsze *u* innych słowiańskich języków zamienione jest na samogłoskę nosową, np. ruka, ręka; skupy, skąpy; mudrost, mądrość. Ja z dwóch błędnych pisowni używam więcej rozpowszechnionej i tej, której używałem zawsze. Może sz. Redakcya podniesie tę kwestyę.

zwalały rozstrzeliwać się siedzące i wyraźnie zgłupiałe od znużenia w podróży, ciągłej pogoni i huku strzelb. Po zachodzie słońca, gdy zmierzchło zupełnie, ustała dopiero ta strzelanina. Wiele biednych drożdzików zginęło w tym dniu dla nich fatalnym, nie wiem, ale i słomkom się dostało. Pan Pollard, pułkownik angielski, wyborny strzelec, ubił ich tego dnia 53, znajomy mój i częsty towarzysz p. Kiriakides 42, do tuzina doszło z dziesięciu innych strzelców. Byli jednak i tacy, co wystrzelawszy pełne rogi prochu, biegli do domu po nowy zapas i wreszcie powróciwszy wieczorem rzucali z tryumfem na podłogę pierwszą w życiu ubitą słomkę, a może i ostatnią. Zliczywszy pomiędzy znajomymi zdobycz dnia tego, a resztę biorąc w przybliżeniu, najmniej 400 znużonych wędrownic życiem opłaciło wstępne do cieplic, jeśli tak można nazwać kraj, w którym powitał je śnieg i trzy stopnie zimna. Ja w tym dniu ubiłem 29. Noc była pogodna z ostrym wiatrem wschodnio-północnym. Nazajutrz ledwie rozświtało, rozpoczął się gęsty ogień, siadłem na konia i pojechałem na moje wczorajsze miejsce, zostawiając sady miejskim strzelcom. Dziwiłem się, jakim cudem nie było żadnego nieszczęśliwego wypadku w oliwnicach, gdzie pomiędzy drzewami, na stosunkowo małej powierzchni, przeszło 150 strzelb się uwijało, i gdzie pełno kobiet i dzieci czerkieskich idzie codzień zbierać suche gałązki; dziwiłem się, jak gubernator mógł spokojnie przysłuchiwać się tej palbie, której dym widział przez okna, nie myśląc o tem, iż takie polowanie katastrofą niezawodnie się zakończy. Zanim milę drogi przejechałem do moich zarośli mirtowych, począłem zazdrościć strzelcom w oliwnicach, bo z pewnością zasłonięci od wiatru gęstemi oliwkami i wzgórzami, w półkole je otaczającemi, nie wyziębli jak ja na koniu. Wasze 20 stopni Reaumura bez żadnej przesady mniej się poczuć dadzą, aniżeli tu trzy mizerne stopnie! Umieściwszy w przyległej wiosce konia i wymłóciwszy sobie dobrze plecy zgrabiałemi rękami, rozpocząłem polowanie od chybienia dwóch słomek, które porwały mi się o 20 kroków z mirtów. Ależ bo i lot ich był niezwykły! Znają wszyscy myśliwi boczne rzuty na lewo i na prawo wypłoszonego, lekkiego na wiosnę kszyka, te jego zwroty wymagające wprawnego oka i ręki strzelca, niczem były w porównaniu z szalonymi rzutami w górę, w bok, na dół, idącymi jeden za drugim z niesłychaną szybkością i w nieograniczonej liczbie. Słomek było pełno jak wczoraj, porywały się tylko z daleka, a lekkie, pochwycone wiatrem, w młyńcach wylatywały szybko z odległości możebnego strzału. Chybiłem też ich wiele i zanieczyściwszy strzelbę, znudzony nabijaniem jej zgrabiałemi od zimna rękami, pomyślałem po raz pierwszy o wyższości odtylcówek. Opuściłem pole na parę godzin przed zachodem słońca, i przybywszy do domu policzyłem słomki — było ich 42, pięć zaś czy sześć ubitych, które mi spadły w gąszcze jeżyn, wynaleść nie mogłem.

Polując dnia tego spotykałem biedne drożdziki z krzykiem i trzepotaniem skrzydełek uciekające przedemną, zchwytałem ich parę, sądząc, że są postrzelone, ale obejrzawszy je dokładnie przekonałem się, że tak nie było. Wyraźnie osłabienie ich pochodziło od zimna po części, a głównie z wycieńczenia sił przez zmęczenie i głód. W roku 1864 około 10 Stycznia nawidził okolice Lattakii mróz większy aniżeli tym razem, przypominam sobie dobrze, że nie łamiąc lodu przejeżdżałem konno przez strumienie te same, które tego roku na lodzie mnie pieszo idącego nie mogły utrzymać. W r. 1864 mróz trwał bez przerwy dni dwanaście, kiedy tego roku woda ścięła się tylko pięć razy, i ledwie przez dwa dni lód utrzymał się do wieczora. Pomimo tego wyjątkowego zimna i trwającego tak długo, nie zdarzyło mi się w owym roku spotkać ptactwa doprowadzonego aż do takiego stanu. żeby dawało się chwytać ręką. Ptactwo zbierające się licznie w stada, jak czajki, siewki, trzymało się w r. 1864 w stadach jak zwykle, tego zaś roku było dosyć siewek wszędzie, ale ledwie po pięć, po sześć w stadku, najczęściej widziałem je pojedyńczo rozstrzelone, osowiałe, dające się zejść niesłychanie blisko, a po spłoszeniu nie odlatujące daleko. Czajek było mniej niż zwykle, i te jak siewki pojedyńczo lub w małych stadach i w stanie opłakania godnym. Pełno spotykałem ich piór i skrzydeł, z początku sądziłem, że to resztki po biesiadzie jastrzębi, lisów i szakalów, tymczasem była to niesłychana śmiertelność. Czajki umierały nawet lecąc, o czem najlepiej przekonać się mogłem spotykając trupy ich zawieszone na jeżynach wysoko i na gałęziach drzew, na których z pewnością nie siadają i gdzie, na co znalazłem dowód, ręka ludzka ich nie zarzuciła. Parę takich trupów najstaranniej obejrzałem i wiem na pewne, że postrzelone nie były. Ptactwo miejscowe jak czyżyki i zięby tłoczyło się ku domom, i również ręką brać się dawało, czegoś podobnego w r. 1864 nie widziałem pomimo silniejszego i dłużej trwającego mrozu, i twierdzę, że zimno mogło się przyczynić także do tego wycieńczenia sił ptactwa, ale nie było główną, wyłączną jego przyczyną. Widywałem na przykład na północy Polski te same czajki zawcześnie powracające z cieplic i zachwycone śniegiem i parudniowym mrozem, a jednak nie padały od zimna, ale wykrzykując wesoło znane nam wszystkim *diz-wit*, *diz-wit!* krążyły po nad zamarzniętemi łąkami, a gdy im tego było za długo, na jakiś czas znikały, by wrócić o cieplejszej porze.

Powróćmy do naszych słomek. Po pierwszych dwóch moich wycieczkach, o których rozpisałem się szerzej, nadeszły dnie dżdżyste z krótkiemi, ledwie parogodzinnemi jasnemi przerwami. Wiatr mniej więcej silny wiał zawsze z północy nakłaniając się to ku zachodowi, to ku wschodowi. Dnie te na długo pozostaną w pamięci mieszkańców Syryi. Płaskie dachy pokryte zbitą mięszaniną wapna, żwiru i ziemi, pochodzącej z rozkładu skał wulkanicznego pochodzenia, wybornie w tutejszym klimacie odpowiadające swojemu przeznaczeniu, przesiąkłe wilgocią, potrzaskały się od mrozu w głębokie, przeróżnej szerokości szpary, i każdy dom, każda izba zalana była strumieniami spadającej wody. Zima ta nosi już nazwę *zimy burzycielki dachów.*

Przy niestałej pogodzie nie można było myśleć o dalszej wycieczce, korzystając więc z wyjaśniającego się nieba, wybiegałem za miasto w miejsca, w których podejrzywałem słomki. Pomimo dżystego czasu, sady roiły się od strzelców i ogień od rana do wieczora nie ustawał. Najbardziej zagorzali byli nowicyusze, niektórzy z nich pod wielkimi parasolami zaczajeni przy płotach, czatowali na siadającego kwiczołka lub słomkę zanurzającą długi dziób w oranej przemokłej roli, inni na prętach rozpinali mekentosze, lub budowali podziemki zdradliwie pokryte zieloną gałęzią. Świadomy dobrze miejscowości, wynalazłem ustronie niedaleko od miasta, gdzie mogłem swobodnie polować, nie wystawiając się na niebezpieczeństwo być postrzelonym lub postrzelenia kogo. I tu były słomki w niesłychanej liczbie, pełno ich było po bobach, w Styczniu już tu kwitnących, i w wysokich wczesnych jęczmionach. Nie tu jednak je strzelałem, bo raz niemam sumienia (jakto robią tu wszyscy) deptać zbóż, a zre-

sztą w posiewach lgnęło się w błoto za kolana, ale szukałem mych ptaków na piaszczystych pagórkach zarośniętych lilijami a głównie w gąszczach macierzanki tu i owdzie w niższych miejscach przeszytej mirtami. Legawca nie brałem, bo przy takiej obfitości ptaków więcejby przeszkadzał niż pomagał. Tu w parę godzin, przez trzy dni urywałem swobodnie po czterdzieści i więcej słomek.

Ogień w ogrodach nie ustawał, ale czy niektórym strzelcom nieco lepszym sprzykrzyły się zawsze jadna miejscowość i ciągłe przełażenie przez mury i płoty, czy może przestrzeżeni jakiem zabliskiem świśnięciem śrótu nad głowami osądzili, że to gra nadto niebezpieczna, dosyć, że znajomi moi myśliwi wypatrzyli mnie, i pewnego razu usłyszałem nagle za sobą huk kilku naraz dubeltówek. Dzień był dosyć pogodny, chociaż nieco pochmurny, do pierwszych kilku słomek nie strzeliłem jako do porywających się za daleko, widząc jednak, że bliżej ich mieć nie można, palnąłem do pierwszej lepszej i spadła. Zdumiony tym pięknym strzałem, z ciekawością począłem liczyć kroki, i wystawcie sobie moje zdziwienie, gdy przy pięćdziesiątym drugim przyszło mi nachylić się po ubitego ptaka. A więc ja wprawny tyloletniem polowaniem do szybkiego oceniania odległości, tę mierną wziąłem za nadzwyczajną! Ubiłem zaraz drugą słomkę, która wydawała mi się jeszcze dalej, policzyłem kroki, i nie było ich nawet pięćdziesiąt. Widząc więc, że jest w atmosferze jakiś warunek sprawiający optyczne złudzenie, bardzo szkodliwe dla strzelca, odmierzyłem kroków pięćdziesiąt, na tej odległości oparłem liniję oczną i postępowałem naprzód, starając się nie stracić jej nachylenia, a to, aby strzelać do każdej słomki porywającej się w tak nakreślonej granicy. Po kilku strzałach musiałem odbudowywać tę oczną przewodnicę, bo raz ją straciwszy niepodobna mi było ocenić odległości. W dniu tym i w dwóch później jeszcze nie tylko samo oko moje ulegało temu szkodliwemu złudzeniu, i moim znajomym myśliwym wydawało się także, że słomki rwą się bardzo daleko i podziwiali, gdyśmy się zeszli, donioslość mojej strrelby. Przyznam się, że byłem do tyla niepoczciwym, że im niepowiedziałem o mojem spostrzeżeniu i o środku, którego używam, i co niepoczciwiej jeszcze, z uciechą przyglądałem się, jak palili do słomek z pospiechem, aby się jeszcze dalej nie odsadzały, i jak naturalnie dla tego pospiechu chybiali prawie zawsze. Tego dnia ubiłem znowu czterdzieści, przeszedłbym był znacznie te liczbę, gdyby ustronia mego nie naszli byli znajomi myśliwi i nie porozganiali mi słomek na cztery wiatry w błotne oziminy. Puściłem ich naprzód i polowałem o kilkaset kroków za nimi, i nieżal mi było nieco popsutego mojego polowania, bo widok chybiających i gniewających się to na proch, to na strzelby, sowicie mi tę lekką stratę wynagradzał. We czterech około trzysta razy z górą dali ognia, i gdy powracając do miasta zeszliśmy się, pokazało się, że jedyny tylko pan G., zresztą najlepiej z nich strzelający, miał 18 słomek, dwaj drudzy znacznie mniej, u czwartego na troku samotnie kołysała się jedna słomka. Zabójca tej biednej jednej spojrzawszy na moją torbę, pod której ciężarem uginałem się, przekładając ją z ramienia na ramię, spojrzawszy po trokach swoich tryumfujących towarzyszów, przed bramą miasta odczepił swoją słomkę, i cisnął ją pomiędzy tureckie nagrobki. Wolał powracać przez miasto i do domu z niczem, niż z jedną.

Pukanina w ogrodach szła dalej swoim zwykłym trybem, przerywana tylko nocami lub ulewnym deszczem. Katolicy z powodu Nowogo roku (większość mieszkańców używa starego kalendarza) i wizyt licznych, które trzeba było odbierać i oddawać, zmuszeni byli na kilka dni zostawić słomki w spokoju, obiecując sobie wynagrodzić czas stracony. Tymczasem wiatr się odwrócił i powiał z południa, ocieplało znacznie i słomki odleciały, o czem przekonać się zresztą było łatwo po mniej ożywionym ogniu w oliwnicach, strzelano już tylko do kwiczołów.

Dowiedziawszy się na pewne, że słomki odeszły, a przynajmniej zstąpiły do zwykłej każdorocznej o tej porze liczby, pojechałem w zarośla dębów ostrolistnych cz. skalnych *(quercus ilex)*, gdzie głównie miałem nadzieję spotkać się z jaką antylopą. Przebiegałem z legawcem odpowiednie miejscowości, spędziłem chodząc przez kilka godzin z dziesiątek słomek, do których nie strzelałem, mając obie lufy nabite lotkami, i w końcu ku wieczorowi przekonany, że nie znajdę antylopy, zabrałem się do szukania słomek, żałując tych, któremi przedtem pogardziłem. Po próżnem wycieraniu krzaków wszedłem w gąszcz uleksów (złotochrost europejski, *ulex europaeus*, po niemiecku *Stechginster*, po francuzku *ajonc marin)*, nadzwyczajnie zwarty, z którego brzegu porwała się słomka. Na obszarze nie więcej jednego morga ubiłem ich 18 w małą godzinkę. Legawiec nie mógł się wcisnąć w tę twierdzę kolczystą, z trudnością następowałem z góry na krzaki, przechodzące mi kolana, dopiero prawie nogą nadeptana słomka poczynała się trzepotać, przedzierając się przez splątane, kolące gałązki, i wylatywała, aby zginąć od pewnego strzału. Po każdym strzale w promieniu najwięcej dziesięciokrokowym wyrywały się słomki ze wszystkich stron w koło mnie. Było już późno, do domu miałęm blisko dwie mile, zaniechałem więc polowania, opuszczając tę morgę krzaków w połowie niesplondrowaną, i szedłem do konia. W drodzę napotkałem drugą podobną twierdzę trzy razy większą, z ciekawości zajrzałem do niej, i ta była pełna słomek jak poprzednia. Urwawszy z nich dwie, nie nabijałem już strzelby, żeby się nie skusić i nie spóźnić powrotu do ciemnej nocy. Wyraźnie napadłem na wielkie stada słomek zebrane do odlotu. Gdyby to było rano, mógłbym był sądzić, że zapadły tu nadedniem, i zmęczone odpoczywając nie rozeszły się jeszcze. Dokąd się to słomki wybierały? Na północ? — niepodobieństwo, na to instynkt im wrodzony nie pozwalał. W góry? — i tam nie było po co, deszcze tu na równinach były w górach śniegami. Podgórza nawet, jak to wiedziałem z opowiadania wieśniaków tam mieszkających, były zasypane śniegiem, jakiego najstarsi ludzie nie zachowali nawet tradycyi. A więc na południe? — dla czegoż tu zatrzymały się w czas mroźny, a odlatują gdy czas złagodniał. Czy słomki, które się tu zatrzymały, odeszły na południe w przeczuciu przyszłych mrozów, i ażeby odlecieć, skorzystały z łagodniejszego czasu, te zaś, których dziś wielkie stada znalazłem, należą do decydujących się najpóźniej? Pytania te starałem się rozwiązać, i przyznam się, że niczem pewnem domysłów moich poprzeć nie umiem, to tylko wiem, że od 10 do 23 Stycznia słomki były w zwyczajnej ilości, jak to co roku o tej porze bywa, gdy ciąg jest dobry.

(Dok. nast.)

CHART

PRZEZ
Alexandra Ušysza.

Polowanie z chartami.

(Ciąg dalszy).

Słuchami dziwnie poruszały, jakby kto nożyczki składał i rozkładał. Naigrawszy się do syta żerowały t. j. skubały oziminę, ale co chwila przechyliwszy głowę nastawiały słuchy, *wytrzeszczały bałuchy*. Już to oczy zajęcze, jakkolwiek widzą w nocy, nie sięgają zapewne zbyt daleko. Ile razy zdarzyło mi się widzieć zająca, który stawał *kołkiem* w celu śledzenia pogubionych chartów, tyle razy przekonałem się naocznie, że raczej słuchami dowiadywał się o swych prześladowcach. Słuch też jego wyborny, co nieraz stwierdziłem. Polowałem często na pewnem obszernem, kępami porośniętem pastwisku z łąkami, polami w około. Była to rozległa na pół mili dolina, na której oprócz podszytych *komeszy* porozrzucane były krzaki łozowe. Wyborne *pole* do polowania z chartami. Ile to tam wziąłem zajęcy, ale mi też czasem uciekały. W jednym z tych małych krzaków zwykł był zawsze przesiadywać *kopyra*, gracz jakich mało. Szczułem go dobrymi chartami może dziesięć razy, a zawsze uciekał. Pomykając czystym bez kęp pastwiskiem, dostawał się na dosyć stromy pagórek, i tam gubił charty. Tak był *czujny*, że zawsze najmniej na 500 kroków wymykał przed koniem. Do pagórka nie było więcej jak 1000 kroków, nim go więc charty *wzięły na oko*, już był przy nim, i u szczytu nikł jak kamfora, a psy albo stawały nagle pogłupiałe, lub unosiły się. Pagórek porosły był chwastami i jeżynami, poprzecinany dołami, z których dawniej musiano wybierać glinę, raczej opokę białą jak kreda. Dołów tych było ośm w dość znacznem od siebie oddaleniu, a wszystkie zarosłe chwastami lub dziką różą. W różnoraki sposób szczułem tego zająca to konno, to pieszo, lecz zawsze się wykpiwał. Rozdrażniło mnie to do najwyższego stopnia, począłem więc przemyśliwać, w jaki sposób mogę rehabilitować moje charty wobec tego zucha, więc urządziłem tak polowanie, że chłopcu ze smyczą chartów kazałem podjeżdżać pod ów krzak łozowy, sam zaś stanąłem ukryty na szczycie pagórka, pragnąc się naocznie przekonać, co się tam z zającem dzieje. Po chwili słyszę okrzyki: *hejże go!* Przypadłem do ziemi, żeby mnie zając nie spostrzegł i nie zmienił kierunku pędu. Stanął, zakołkował, i słucha, chartów jeszcze nie było. We dwie minut dawszy ogromnego susa znów stanął, i *słuchami strzyże* z głową przechyloną, nie rozglądając się oczyma. Naraz pomyka nazad w miejsce, gdzie był poszczuty, ja zerwałem się, i bieżąc w skokach wołam: *heco! heco!* co też charty zrozumiały. *Zoczna* pierwsza wzięła go na oko, jak szparko między rzadkimi burzanami pomykał, i wzięła go wkrótce w pojedynkę. Usłyszałem też wnet przeraźliwe: *kniaź! kniaź!* Mądra była taktyka gracza. Wymykał rączo, odsadzał się daleko, a gdy charty pogubił, zamiast w dalszym pędzie uciekać, stawał, nasłuchiwał, a potem *smyk* na powrót trawami do kotliny, i tak jakoś się udawało, dokąd nie znalazł się rozum na rozum. Zaprawdę rozkosz nie mała widzieć uduszonego zająca, który mnie i moje charty tyle natrapił, jako trofea zwycięztwa wypchałem go jak umiałem, i przechowuję jako pamiątkę. Najrozmaitszych zając używa fortelów, aby ujść pogoni, kryje się nawet w lisich jamach, ale zna je dobry chart, i swoją na odwrót sztuką go pokonuje. Kto tyle lat, jak ja, i z takiem zamiłowaniem poluje, zapisał niezawodnie w pamięci swojej wiele rysów charakteryzujących lisa, zająca i charta. Myśliwi na strzelbę nie wiele mają po temu sposobności, chyba z lisem, z zającem prawie nigdy. Jak dzielności żołnierza ocenić nie można na zimowych leżach, tak też właściwości zająca okazują się w pełni nie w kniei, lecz w polu wobec charta. Zając goniony przez ogary lub nagónkę w większym lesie, ugania po nim, młodzik w kółko, a stary wodzi psy po różnych stronach, zawsze wracając ku miejscu, z którego wyruszył. Gdy nie padnie od strzału myśliwego, a widzi, że z nim kręto, wymyka w pole, a tam już on pan, już mu tam ogar choćby najlepszy nie dokuczy i nie doścignie. Tylko chart dla niego tam groźnym, on naprzód ułoży sobie plan kampanii, i ściśle go wykona. Miałem w innej stronie innego gracza zająca, który zwykle przesiadywał o kilkaset kroków od małego, dobrze podszytego lasku, i kilkakrotnie wymykał mi się w jednakowy sposób, mianowicie pomknąwszy dosyć daleko od konia pędził jak strzała do lasu, i tam się ukrywał. Raz zajechawszy od lasu, chciałem go poszczuć *na sztych*, lub jak niektórzy mówią *w oczy*. Zając ów nie siadywał, jak poprzedni zawsze w jednem miejscu, owszem raz był w podszytej komeszy, to znowu między kępami. Stanąwszy tedy od lasu, począłem zwolna podjeżdżać ku miejscom, gdzie przebywał, to tu, to tam, lecz nigdzie go nie było. Myślałem już, że często niepokojony wyniósł się, gdy w tem charcica, która naprzód konia była wybiegła, pomknęła z miejsca w tył. Szybko zwróciłem konia i spostrzegłem, że ściga tego samego zająca, który się odznaczał białością podobną do siwizny. Dziwiłem się, iż psa przy niej nie widzę, a po chwili widzę, że chart dobiegł pod sam brzeg lasu, odwrócił się frontem ku stronie, z której pomyka zając, a za nim charcica. Zając pewny swego, zbliża się do lasu, a w tejże chwili chwyta go chart, który widocznie obmyślił naprzód plan natarcia. Pewnem jest, że zając używa sztuczek swoich tylko w polu, czy to, iż w lesie ich nie potrzebuje, czy też lekceważąc psy gończe i nagónkę. Chart też okazuje więcej sprytu w łowieniu, jak ogar, gończy lub wyżeł. Fortele ocalają nieraz gracza — zająca, ale najczęściej w końcu wiodą go *do troka* i na *kołek*.

Postradawszy charty, musiałem się o inne postarać. Łaskawi znajomi obdarzali mnie nimi, ale niestety zawsze najgorszymi. W taki sposób dostałem charty od radcy W., który w późniejszym już wieku wpadł w manię charciarską. Otrzymał on był młodego i bardzo dobrego charta z sławnego podówczas gniazda chartów ukraińskich pana J., i pomimo późnego wieku i nosów odbieranych za zaniedbanie swego urzędu tak się do polowania z chartami zapalił, iż szukał tylko sposobności, aby wziąć udział w takich łowach z zapałem i wytrwałością młodzieńca. Nabywał często za drogie pieniądze charty, był też zawsze przez handlarzów oblężonym. Dostarczali mu ich mnóstwo, zwlekając niemal z całego kraju, a że kupował najczęściej bez próby, więc miał liche, i ledwo później usilnym naleganiom przyjaciół ustąpił, i kupował chartów mniej i tylko wypróbowane. Otóż poznawszy się przez p. J. z panem radcą, byłem tak nieszczęśliwy, iż mnie ofiarował owe liche charty, z którymi w stolicy nie wiedział co robić. Raz pamiętam przysyła mi troje naraz, smycz czyli pies i suka jako tako wyglądały, ale trzeci był to ogromne charcisko, jak wół, ale też jak wół niezgrabny. Według tenoru listu miał to być potomek w prostej linii jakiejś sławnej charcicy ukraińskiej, łapiącej niegdyś zające, lisy, a nawet wilki *solo*, którą sławę aby upamiętnić, szanowny radca dał mu nazwisko: *Solo*, będąc pewnym, iż odziedziczył cnoty swej matki czy babki. Prosił mnie więc p. radca, abym owego matadora przyjął na pewien czas dla ukończenia jego edukacyi, *Solo* nadto ciekawym był

egzemplarzem, iżbym go tu *pro acterna rei memoria* nie opisał. Ogromnych rozmiarów, z łbem na pół łokcia długim, lecz grubym zdradzającym kundysie pochodzenie, dość podkasały, lecz przednie i zadnie nogi grube i wielce niezgrabne, krzyż prosty, gruby jak u jałowicy. barwy jakiejś dziwnej mięszaniny, czarnej, burej, żółtej, popielatej, a przytem dość długiej. Jednem słowem, gdyby nie jagnięca jakaś dla ludzi i psów łagodność, kwalifikował się wybornie do upięcia na łańcuchu. Według słów radcy, który często przyjeżdżał oglądać swoją, jak się wyrażał, przyszłą pociechę, miał ten chart mieć dopiero pół roku, a ja byłem pewny, że ma już najmniej półtora. Radca święcie wierzył, że z wiekiem nabierze figury i szyku, co było dziwnem zaślepieniem, wybitny to bowiem był mięszaniec, zdaje się owoc mezaliansu powabnej charcicy z grubym brytanem rasy duńskiej, które w kształtach mają niejakie podobieństwo do chartów. Co do żerności nazwa tego psa była nader trafna, *Solo* zjadał cały szaflik osypki, dla czterech psów przygotowanej, *Solo* dusił kury, gęsi, indyki, i pożerał wraz z pierzem. Miał nawet ukryte cnoty, o których na polowaniu się dowiedziałem, chodził przy koniu, — wtem pomyka zając, szczuję go darowanymi chartami, i dziw nad dziwy! wzięły. *Solo* nader bierny wziął udział w ściganiu, kłusem szedł za zającem, lecz bardzo czynnie wystąpił, gdy charty wzięły zająca, energicznie rzucił się na niego, porwał go, i tym razem już nie kłusem umykał do pobliskich krzaków, gdzie tak prędko i dobrze się sprawił, iż gdy go konno doścignąłem, już tylko skoki wyrwałem z pyska żarłokowi. Lubo nie miałem zwyczaju bić psy, to jednak teraz krew zawrzała zaciekłym gniewem i obłożyłem łotra suto kozacką nahajką. Przepraszam czytelnika za to zboczenie, może ono przynajmniej tyle będzie miało wartości, że wyleczy podobnych radcy amatorów chartów od nieusprawiedliwionych uprzedzeń względem nich. Wracam do rzeczy. Przez rok cały niemając dobrych chartów, zmuszony byłem polować z *wywłokami*, czem wytworzyłem u siebie tylu *graczy*, iż gdyby to działo się w Anglii, zamiłowani w zakładach synowie Albionu mieliby obszerne pole do popisu. Była u mnie jakoby akademia ucząca zające uciekania i używania fortelów. Jeden z tych graczów tak się był wprawił w *przycupywanie*, a potem odskakiwanie w przeciwną stronę, że nawet nie złe charty przeskakiwały przez niego, a on w krzakach lub w dołach przy cegielni znikał im z oczów. Często też dzielnym *kominkiem*, jakby wyrzucony z procy, rzucał się w tył, i uchodził pościgu moich lichych chartów. Lecz „*do czasu dzban wodę nosi*“, mówi przysłowie. Wrócił wreszcie p. J., opowiedziałem mu wszystkie moje utrapienia, i zostawiwszy w domu moje *wozimydły*, ruszyliśmy z jego smyczą na owego *kruczkiewicza*. Wnet poszczuliśmy go, i jak zwykle użył on wszystkich wybiegów doskonałego gracza, zrazu *przycupnął*, charty zbite z pędu uniosły się kroków kilkanaście, a zając skoczył, i w przeciwnym pomykał kierunku, ale dzielne psy, chociaż się już był znacznie odsadził, rychło go znowu doszły i wzięły w obroty. Manewrując przez ćwierć godziny prawie *motał* psami, umęczywszy je bez miary. W końcu przyparty *uciął sprężystego kominka* w celu ocalenia się, ale w tejże chwili chwycił go jeden z chartów *w lot*. — Są jednak pomiędzy zającami innego rodzaju gracze, nie używający do swego ocalenia przycupywań, kominków, wymykania z kotliny poza końmi i t. p. wykrętów. Wprawny myśliwy, skoro zając wyskoczy z kotliny, pozna, z kim ma do czynienia. Nie zgadzam się ze zdaniem niektórych twierdzących, iż prawdziwy gracz pomknąwszy z miejsca w oryginalny sposób słuchami strzyże. Wszystkie, młode czy stare, mniejsze lub większe w ten sposób słuchami strzygą nasłuchując, jak daleko od nich prześladowca się znajduje, i w miarę tego wytężają swój bieg. Kiedykolwiek polowałem z dobrymi chartami, widywałem graczów nie w strzyżeniu słuchami przy pomknięciu, lecz raczej w mniej lub więcej wysokiem wyrzucaniu skoków tylnych, co się po charciarsku *wyrównaniem* lub *wyciąganiem skoków* nazywa, przyczem też omyk właściwą, dosyć pocieszną rolę odgrywa. Cel takiego równania lub wyciągania skoków łatwo odgadnąć można. Stary wyga zając wie dobrze, że się od świtu zasiedział w kotlinie, że mu skoki strętwiały, więc trzeba je zrównać, wyciągnąć, a nie ma czasu czynić to zwolna i swobodnie, trzeba zatem odrazu je natężyć, bo niebezpieczeństwo na karku. Strzepnie więc skokami, które uderzając o siebie wydają pewien odgłos, podobny do klaśnięcia biczem, a gdy słuchy się dowiedziały, że prześladowca następuje prawie na pięty, kładzie je jako niepotrzebne pragnąc ochronić ów organ od zbytniego wciskania się powietrza, na grzbiecie, i rusza szparko. U takich graczy nie ma fortelów, środkiem ocalenia jedynym są skoki. Nie lada charta trzeba, żeby wziął takiego szybkobiega. Polowałem raz bardzo dobrymi chartami pomiotu gniazda chartów Ja... Muszę naprzód nadmienić, iż nie miałem zwyczaju, gdy charty zająca zoczyły, wołać zwykłe: hejże go! aby go nie płoszyć, przez co często naprzód wyciągał skoki, nasłuchiwał, i na razie całą siłą się nie *wysworowywał*, i ułatwiał chartom zetknięcie się z nim. Otóż raz gracz taki pomknął przed chartami, i znikł mi wraz z nimi za pagórkiem. Dotarłem rychło na szczyt pagórka, w rodzaju kurhana, chcąc mieć na oku cały proces ścigania, i nie stracić ani odrobiny tej wielkiej przyjemności. Spostrzegłem moje charty rysujące się wyraźnie na tle czarnoziemu, a przed nimi w znacznem oddaleniu zająca w kształcie drobnego punkcika. Byłem pewnym, że charty jakkolwiek wypróbowanej rączości i wytrwałości, tym razem pokpią sprawę, że zając pogubi charty i dobieży do lasu. Że zaś ten las był własnością klasztorną, a leśniczy niebardzo był dla mnie przyjaznym, obawiając się, żeby mi chartów nie postrzelał, (co też w rok później uczynił), dążyłem wyciągniętym kłusem ku psom, rozglądając się jednak na wszystkie strony, ażali może gdzie nie leżą przy wziętym zającu lub nie wracają do mnie. Ujrzałem charty leżące nad brzegiem lasu, i byłem pewny, że zając uszedł, a one odpoczywają po trudach. Zbliżywszy się wszakże widzę obok psów leżącego zająca. Biorę go w rękę, sztywny jak drut, wyciągnięty, lecz jeszcze żyje, a serce bije w nim, jakby kto młotkiem uderzał, a charty leżą dysząc z szeroko rozwartymi pyskami. Miałem zwyczaj zawsze mieć z sobą kilka kawałków niesolonej słoniny, (którą bardzo polecam), tę dawałem zawsze chartom po kawałku, gdy się forsownem lub dalekiem ściganiem zbyt pomęczyły. Wody w takim razie strzedz się należy, jako napój bowiem sprowadza gwałtowne i zabijające zapalenie płuc, kąpiel zaś nabawia psa reumatyzmu trudnego do wyleczenia. Dopiero po ochłodzeniu szukać należy bodaj kałuży, by się psy napiły i orzeźwiły. W zimie też o ile możności nie dopuszczać chwytania pyskiem śniegu. Dobrym środkiem jest także dla prędszego ochłodzenia miałko na proszek utarta saletra, którą po szczypcie wsypać można w otwarty pysk charta. Myśliwi używają dla gończych w tymże celu prochu, ale saletrę uważam jako odpowiedniejszą, bo sproszkowana siarka wywołuje nudności. Dałem psom po kawałeczku słoniny, lecz nie wzięły jej jak zwykle z chciwością. Zrozumiałem, dla czego zając żywcem wzięty. Z powodu ogromnego zmęczenia nie były w stanie go udusić, wzięły go mimowoli w sposób tatarski łapami, lub przygniatając swym cię-

żarem. Teraz też pojąłem, w jaki sposób Kozacy zaporozcy, a później Kozacy nadworni ks. Sanguszków i hr. Potockich brali żywcem wilka na stepach ukraińskich, o czem niżej mówić będziemy. Tak jak zając zbyt wysilony przed chartami lub gończymi, zatrzymuje się dla chwilowego odpoczynku, i w tejże chwili owładnięty kurczem w skokach łatwym się staje łupem psów; tak też psy, wilki i lisy w skutek zmęczenia zbytniego dostają kurczu w szczękach tak, iż pyska zamknąć nie mogą. Spostrzeżenie to zrobiłem na moich chartach niezmiernie strudzonych trzyćwiercimilowem ściganiem zająca. Kurcz szczęk trwał prawie pół godziny, poczem poczęły się oblizywać, nieco krztusić, a słoniny jeszcze gryźć nie mogły, ale ją połknęły. Po półtoragodzinnym wypoczynku napiły się wody, wykąpały, i już rześkie i wesołe podążyły za mną do domu Zkąd pochodzi kurcz szczęk, wyjaśnić nie umiem, łatwiej wytłumaczyć stręrwienie członków u zająca. Pochodzi ono z naprężenia żył i nadmiernego napływu krwi rozgrzanej skutkiem wytężonego biegu, a następnie w skutek doraźnego oziębienia, spowodowanego odpoczynkiem na chłodnej lub wilgotnej ziemi, na śniegu albo lodzie. Jak długo takie otrętwienie członków trwa u zająca, i czy ono nie pociąga złych w następstwie skutków, jak się to zdarza u koni, które podobnego jak zająca doznają stręrwienia nóg, zwanego ochwatem, nie wiem. Badaczom przyrody zapewne to wiadome. Psy, jak się przekonałem, nie doznają żadnych ztąd szkodliwych następstw. Moje charty kaszlały wprawdzie dni kilka, ale to przeszło. Uderzającem jest, że podobnego kurczu szczęk dostają także psy nawidzone wścieklizną, i to w drugiem stadyum choroby. Jestże to przypadłością choroby samej, czy też skutek nieustannego ugania, lub też zwiastunem ostatniego symptomu choroby — sparaliżowania krzyżów? Podobny kurcz szczęk widziałem razy kilka. Nie umiem sobie wyjaśnić, dla czego kurcz u zwierząt drapieżnych (nie wiem, czy także u kotów) objawia się w szczękach, u zająca zaś, a prawdopodobnie także u sarn, jeleni, danieli. a jak wiadomo i u koni — w nogach?

Po tem nieco może za nadto znacznem zboczeniu, wracam do zająca. Gdy jesień nadeszła, a szelest spadających liści wystrasza zająca z kniei, wynosi się on w pole, i zalega w kotlinie. Kiedy rola zamarzła, szukać go trzeba na zimowych pokładach, na oziminie lub w jej pobliżu. W tej porze z wyjątkiem lasu, którego unika, jest wszędzie. Jeżeli go szanowano, charty i psy wiejskie samopas po polu chodzące nie wyłowiły, to rozmnożył się gęsto. (Ciąg dalszy nastąpi).

POLOWANIA LETNIE I JESIENNE

PRZEZ

ARTURA BARTHELSA.

V. Lisy gniazdowe.

(Ciąg dalszy).

Od Krasnostawskiej łozy *) długą linią szczwacze
Na znajome przesmyki zdążają pomału,
A pod każdym koń dzielny niecierpliwie skacze,
Chłopak w chłopaka dzielny, z najlepszych wybrany
Chat leśnickich, z myśliwstwem z dziecka oswojony,
Musi być strzelec zręczny i szczwacz zawołany,
A nie zmieniłby losu swego na korony,
Każdy dość świata widział i pobywał w świecie,
Niejeden zwidził Paryż, był nawet w Londynie,
Warszawę zna na pamięć, a zaręczam przecie,
Że woli polowanie na lisy w Starzynie.
Pozatykano nory, na nich honorowe
Stanowisko, bo każdy lisek pod psim gonem
Musi wprzódy odwiedzić gniazdo swe rodowe,
Jakby chciał swą kolebkę pożegnać przed zgonem.
Wszystko zatem gotowe, pan Łowczy Gontarski,
Przy nim podłowczy Moroz z sześciu myśliwcami,
Zręcznymi do posługi i postawy dziarskiej,
Wyczekują na księcia z kilku sąsiadami
Na ten dzień sproszonymi. Nadjeżdżają wreszcie,
Stają goście na linii, książe pan na jamach.
Na sygnał wypuszczono gończych sfor dwadzieście,
I z Popławku się robi obraz w złotych ramach,
Rodzaj to krajobrazu jesiennej natury,
W oddalach, kolorytem, i harmonią tonów
A pysznem w pierwszych planach oświetleniem z góry
Dziwnej różnobarwności brzóz, dębów i klonów,
Tak pełen życia, prawdy, taka wiejskość szczera
W nim oddycha, że nieraz doprawdy aż smutno,
Iż Litwa nie ma dotąd swego Paul Pottera,
Któryby te piękności mógł przelać na płótno.
Co chwila lis przebiega z tej na tamtą stronę,
Za nim psy całą zgrają, i na tęgiej szkapie
Dojeżdża dzielny *Buczun*, czoło obnażone
Ocierając i paląc harap po harapie....
Hu! Kot ha! Sfór dwadzieścia ochoczych gończaków
Pędzi, las napełniając czemś, co nie jest gonem,
Ale jednym akordem, lejącym się z krzaków,
To bliższym, to znów dalszym, ciągłym unisonem
W jedno *haaaa!* gwarne, uroczyście zlany,
Ma on piano i forte dziwnie uchu miłe,
A jedne tylko może potężne organy
Oddaćby mogły wiernie dziwną jego siłę.
Na jamach strzał po strzale domyślać się każe,
Że książe nie próżnuje, lecz gon nie ustaje,
Co moment gdzieś na brzeżku lisek nos pokaże,
A trąbka z strony szczwaczów znać nam o tem daje;
Bo na lisa osobny jest sygnał, soprano
Najpiskliwsze, i jakaż dla duszy pociecha,
Kiedy w kniei, gdzie dużo już dotąd strzelano,
Jeszcze raz tę melodyę powtórzą ci echa,
Wzywając do baczności, dodając otuchy
Sercu już zwątpiałemu i budząc nadzieję,
Że z za tej co przed tobą jeszcze brzozy suchej
Lisek nosek swój wytknie, lub kitą zawieje.
Gon się rozbił na dwoje, tu gonią, tam gonią,
Myśliwi na dwie strony muszą się pilnować
Z natężoną uwagą i gotową bronią,
Gdyż broń Boże prześlepić albo zfuszerować!
Zmieniają ciągle miejsca, gdyż Popławek długi,
Na pięciu albo sześciu stojących na linii,
Ledwie tędy lis przeszedł, tam już wytknął drugi,
A strzelać i daleko i szkoda opinii.
Wtem patrzę, idzie lisek, z początku kłusikiem,
Ale przed bliskim gonem spieszyć się zmuszony
Kopnął się od połowy lekkim galopikiem,
Aż tu bac! skręcił w miejscu, lecz dobrze trafiony
Pada za trzecim susem, — w łeb go razy parę

*) *Krasnystaw*, staw pod Kleckiem tak nazwany od krwi tatarskiej.

I po nosie harapem, i za kark ujęty
Ozdabia wkrótce kitą bliską brzozę starą,
Na której go zawiesił myśliwy zawzięty
Pan Ksawery z Ciechowej, jeden z zwykłych gości
Tych polowań, kawaler legii honorowej,
Typ niezrównanej z niczem polskiej gościnności,
Rubaszności szlacheckiej, prawości wojskowej.
Niezadługo padł drugi natknąwszy się znowu
Na mojego sąsiada, a nareszcie trzeci
Wyszedłszy przemoknięty z bliskiego parowu
Spotkał się z moim strzałem, i ząbkami świeci.
Poczem ustał gon chwilę i słyszymy tylko
Trąbienie i *tuwawiosz kotaha!* Buczana, *)
Lecz prędko dał się słyszeć głos *Zagraja* z *Szpilką*
Na tu tu! dojeżdżacza, *na tu tu! na na na!*
A z harapa plask, plask, plask! i poszła pociecha,
Skupiły się pieseczki i znów idą strzały,
Że się dusza z radości w człowieku uśmiecha,
I radby na tem miejscu stać choćby rok cały.
Ale wszystko ma koniec, i lisów nie stało,
I trąbią wyciągłego, idziem więc powoli,
I widzim prócz zajęcy, których też nie mało,
Ośmiu prześlicznych lisów rozsłanych na roli.
Zjeżdżają się myśliwi, naprzód dojeżdżacze,
Prowadząc zsforowanych gończaków już kupę,
A za nimi leśnicy, myśliwcy i szczwacze,
Zebrani w jedną dziwnie malowniczą grupę.
Zakąska, kielich starki, piesków sforowanie,
Wyciągłe z trąb dziesiątka i gawędka żywa
Z umową na jutrzejsze da Bóg polowanie, —
To mi życie, uciecha, to rozkosz prawdziwa!
Przez całe dwa miesiące takie łowy trwają,
Wybite wszystkie lisy aż do ostatniego,
A czemuż nie polować, kiedy na co mają?
A czemuż się nie cieszyć, jeżeli jest z czego?
Dla dojeżdżackich koni i dla dojeżdżaczy
Ciężka wprawdzie jest praca, lecz od czegoż zmiana,
Ten dzień jeden, ten drugi, a co to tam znaczy
Dla zdrowego Dubiny albo też Buczana!
Kirgiz także i Deresz, poczciwe ich konie
Ani czują znużenia, tak zaś są wprawione
Do służby swej, że idą same po psów gonie
Przez rowy, doły, gąszcze, pędząc jak szalone,
Jakby dla swej korzyści albo też zabawy....
Jakby ich samych obwiał urok polowania,
Że wyraźnie nie rzecz to długiej tylko wprawy,
Ale nadto rzecz gustu i upodobania.
Widziałem sam Kirgiza, gdy go Buczan rzucił
Odbierając psom lisa, jak raptownym susem
W stronę psów, które wzięły na oko, się rzucił,
I sam własnym instynktem galopem i kłusem
Dojeżdżał aż do końca, zatrzymał się wtedy,
Jak już lisa nie stało, a co mu do tego,
Że Buczan na nim nie był, tyle tam tej biedy,
On tam był, gdzie goniły lisa pieski jego,
I były to psy jego, kochał je i pieścił,
I wzajemnie uczucia ich dlań były rzewne,
A w jego przeorynie zawsze pies się mieścił,
Z którym o polowaniu rozmawiał zapewne.

*) *Tuwawiosz, tuwawiosz kotaha! hu ha!* zwykły okrzyk dojeżdżacki na zające i lisy, huż huż! użyty tylko na wilki i grubego zwierza.

Gdzież was szukać Kirgizie, Dubinie, Buczanie!
W mojej tylko pamięci dotychczas żyjecie.
W nagrodę nędz żywota, ach! dozwól mi Panie,
Popolować wraz z nimi choć na tamtym świecie!

(Ciąg dalszy nastąpi).

WSPOMNIENIA
Z ŁOWÓW NA DZIKI

PRZEZ

KAZIMIERZA Hr. WODZICKIEGO.

(Ciąg dalszy).

VI.

Sądząc z ciekawego epizodu z mego życia myśliwskiego, wystawiam sobie, jak to się stado dzików wobec wilków broni, jak się formuje, jak szarżuje, tnie, i młodzież swą zabezpiecza. Polowałem na dziki z psami w Podhajeckiem państwie r. 1850 w miesiącu Grudniu, i powróciłem na noc do miasta z zamiarem polowania w następnym dniu, lecz w nocy spadł śnieg na łokieć, przysypał tropy, więc pojechaliśmy do krajnego lasu na drobnego zwierza, a na moje nieszczęście odesłałem konia i psy do oddalonego folwarku. Zanim plan ułożony został i naganiacze się rozeszli, przyjechał młody leśniczy na koniu, i zaklinał nas, abyśmy nie płoszyli dzików, oraz twierdził, że wieczorem weszły, więc w taką śnieżnicę nie ruszyły. Rada w radę, postanowiliśmy posłać po psy, bo chociaż tropy śniegiem przysypane, to jednak las nie wielki dębowy od pola i mało podszyty, więc psy zwietrzyć i ruszyć muszą dziki. Po chwili przyprowadzono psy, ale o moim koniu zapomniano, gościnny leśniczy chcąc to złe naprawić, ofiarował mi swego konia. Nawet Sancho-Pansa byłby mi nie pozazdrościł tego Rossinanta, który pewnie ziarna owsa nie znał, chudy był, na wysokich nogach, z drzemiącemi oczami, niby gniady, niby deresz, dotąd tkwi w mojej pamięci z tem kozackiem na grzbiecie siodłem. Ledwie odjęto psom drążki, rozpoczęły się wrzawa i hałas, a że nikt z nas przypuścić nie mógł, że dziki pójdą w pole, więc staliśmy wszyscy od grubego lasu. Biegnę co tchu ku koniowi, wsiadam na to torturowe siodło i pcham konia piętami, cuglami i kolbą, ale niestety bez skutku. Wywłoka przeznaczona już za życia na ścierwo dla wilków, obojętna na razy, posuwała się stępo, wyciągając ostrożnie nogi ze śniegu. Rozpacz mnie ogarnia, niecierpliwość trawi, wstrząsa całym systemem nerwów, gdy widzę w dali 15 dzików staczających walkę z psami i posuwających się ku miejskiemu cmentarzowi zarośniętemu dzikiemi wiśniami. Nic nie pomaga, Rosinanta nawet do wolnego truchta nakłonić nie mogę, zastrzyże uszami, ogonem się ogoni, i dalej z flegmą postępuje, a ja na grobach zmarłych Podhajczyków widzę to psa, to dzika, to warchlaka, tam walkę, tu ucieczkę, a wiele sposobności zastrzelenia przynajmniej dwóch dzików. Już zamierzałem zeskoczyć z tego zgniłego konia i pieszo podchodzić stado, lecz wyrozumowałem sobie, że po takim śniegu nie zdążę za psami, i że dziki nie pójdą do miasta, lecz wrócą do lasu. Tak się też stało. Gdy się im sprzykrzyło deptać na nieboszczykach, zformowały się w zwarte stado, starszyzna stanęła na przodzie, młodzież z tyłu, a w ariergardzie duża sztuka, jakby dla asekuracyi warchlaków. Tak wolnym truchtem w towa-

rzystwie psów dążyły dziki pochyłością pola do lasu. Miot zwano: Panieńskie łozy. Czy tam panienki niegdyś przesiadywały, czyli też w tych krzakach odegrał się kiedyś sentymentalny jakiś dramacik, nie wiem, to wszakże pewne, że dziki weszły w te łozy, i tam oszczekiwane były na miejscu przez kilkanaście minut. Ja z niecierpliwości i szamotania się z koniem byłem cały w potach, i ani na chwilę choćby truchtem naprzód nie podążyłem. Gdym się już wreszcie zbliżał do krzaków, ujrzałem nader ciekawą scenę. Psy widocznie bały się wskoczyć do gęstych krzaków, może już były poturbowane, a może też poznały odyńców i stchórzyły, więc zławiając tańcowały przed gąszczem. Wtem wysuwa się całe stado, na przodzie staje jeden dzik, za nim trzy, dalej cztery, a z tyłu gromadka warchląt, i ze świstem i szumem uderzają na uciekające psy, powalają wszystkie i tratują przebiegając w tym samym porządku koło mnie w odległości może stu kroków, i dążą do lasu. Już mi też mój Rosinant nadto dokuczył, zsiadam więc i biegnę do psów, które znalazłem w nader smutnym stanie. Jeden w kabłąk zgięty charczał, drugi ranę na nodze wylizywał, trzeci przeraźliwie skomlał, a czwarty leżał bez życia. Trzy pozostające patrzały na mnie w osłupieniu. Była to szarża, jakby kirysierów z pod Waterloo, wykonana z wielkiem powodzeniem, bo na siedm psów atakowanych jeden tylko dał się nakłonić do dalszej pogoni, i to z niezwykłą ostrożnością, bo co chwila wracał do strzelców. Przed tym jednym psem ubito odyńca zuchwałego, nie szukającego ocalenia w ucieczce, jakto uczyniło stado. Zabraliśmy rannych i pojechaliśmy do domu. Z psów jeden tylko był cięty w nogę, reszta zdeptana, z czego chorowała przez trzy tygodnie. Takie tratowanie racicami musi sprawiać niesłychany ból, bardziej bowiem psy zniechęca, jak najgłębsze cięcia. Dwa doskonałe psy w ten sposób podeptane już nawet za tropem iść nie chciały, a przed dzikiem jakby wścieklizną pędzone uciekały, więc musiałem je kazać zastrzelić.

Na pierwszych śniegach listopadowych polowałem w Mikołajowskiem państwie, i postrzeliłem dzika. Noc nas zaskoczyła i dochodzenie zwierza musiałem do rana odłożyć. Towarzystwo moje miało polować w odległym rewirze, ja zaś namówiłem mego *alter ego* myśliwskiego, zabraliśmy konie i psy, i ruszyliśmy ku naznaczonemu miejscu. Na moje nieszczęście padał w nocy śnieg, wprawdzie bardzo drobny, ale dostateczny, aby farbę przykryć i pogoń tak nam jak i psom utrudnić. Słońce ledwie się z za góry wychylało, my sobie już miotełki wiązali, aby śnieg zmiatać z tropu, bez której ostrożności nie można się było posuwać za farbą, z drugiej zaś strony wstrzymywało bardzo dochodzenie dzika i męczyło nas ciągłe schylanie się do ziemi. Śród takiej pracy szliśmy może godzinę, gdy mój *alter ego* wskazuje mi zbroczony barłóg. Puściliśmy psy na świeży trop i niebawem usłyszeliśmy naszczekiwanie na drugim pagórku. Losy mi w tym dniu nie sprzyjały, owszem dziwnie przesladowały. Psy idąc za tropem postrzelonego dzika, ruszyły na oko z barłogu dużego odyńca, porzuciły farbę, i chwyciły się zdrowego, piekielnie zuchwałego i ciętego dzika. W przekonaniu, że raniony, prosiłem towarzysza, by nie strzelał, i puściłem się na moje nieszczęście za psami. Posiadałem wtedy dwa zacięte ogary i cztery kundysy, między nimi dużego, czarnego, podżarego z mordą i zębami do rozdarcia tygrysa, walecznego a ostrożnego, co stanowiło jego największą zaletę. Gdy się zbliżyłem o kilkanaście kroków w gąszczu ciemnym do odyńca, stojącego śród psów, mój kundys uznał za swój obowiązek skoczyć na dzika, w okamgnieniu miał go odyniec pod sobą, i począł po nim racicami deptać, broniąc się innym kłami na miejscu. Z wlepionemi w niego oczami wyczekiwałem chwili stosownej do strzału, gdy wtem kundys się wyrwał z pod dokuczliwych racic, i pędem do nóg moich przybiegł, a za nim rozwścieklony, pieniący się odyniec, i stanął o krok odemnie. O strzale ani myśleć można było w tym piekielnym gąszczu, więc odskoczyłem na łokieć w tył, zatrzymałem dwoma rękami strzelbę na poprzek, i krzyknąłem przeraźliwie na dzika. Ani strzelba, ani mój krzyk nie przestraszyły odyńca, widocznie się nademną zlitował, odwrócił się, i wolno wracał pod pagórek, wtedy celnie wymierzywszy strzeliłem za nim, i chybiłem, puściłem drugą kulę, lecz i ta zwierza nie dosięgła. Widocznie byłem zastraszony, zdenerwowany i rozdrażniony, ręce pewnie mi drżały, kiedy chybiłem dzika wielkości wołu i to na 15 i 20 kroków. Stało się, wstyd mnie ogarnął, pot z czoła w kroplach spływał, a trząsłem się jakby w febrze, gdy mój towarzysz nadbiegł. Teraz począł się straszny dramat. Pies potratowany jęczał żałośnie i nie mógł się dźwignąć, po chwili przywlókł się drugi pies z rozprutym brzuchem, potem trzeci z udem głęboko rozciętem, a w końcu mój faworyt z wydobytą i wiszącą wątrobą, patrzący na mnie tak smutno, że mi się łzy w oczach zakręciły. Ten śmiertelny jęk, to skomlenie wołające o pomoc, ta lejąca się krew, ów wyraz oczów pełen smutku i wyrzutów, towarzyszyły mi żałobnie w wycieczkach przez długie lata. Złożyłem się, aby dwa ciężko ranne psy zastrzelić, lecz towarzysz wstrzymuje mnie mówiąc: „My tu strzelać nie możemy w obcym lesie, bo narazimy się na awanturę, właściciel gwałtowny człowiek i zapamiętały myśliwy, więc trzeba bez hałasu dobić psy“. Utrzymują dawni i dzisiejsi myśliwi, że mocne uderzenie po nosie każde zwierzę zabija, mylne to wcale twierdzenie, na dowód przytaczam ten dla mnie najboleśniejszy epizod, iż walecznego kundysa biliśmy kilkakrotnie po nosie bez skutku, więc z najsroższą boleścią w sercu towarzysz mój włożył patyk w ranę, wiercił nim aż do serca, i tym sposobem zabił mego faworyta, drugiego zaś dobić nie chciał, twierdząc, iż zaszyciem rany go uratujemy. Igła i jedwab, nieco arniki ze śniegiem, okład z chustek naszych dokazały, że powlekło się psisko do domu, a później doskonale jeszcze brało dziki. Podeptany zdechł. Kiedy zajęci byliśmy operacyą, usłyszałem głos ogara Zagraja i jego towarzysza, więc lazaret powierzyłem memu towarzyszowi z psiarczykiem, a sam począłem się podsuwać pod odyńca. Szedłem długo za głosem, i nie mogłem się zbliżyć, bo Zagraj znakomicie gonił przez dzień cały, lecz nigdy nawet warchlaka nie chwycił, więc dzik fukał, w gniewie bezskutecznie szarżował, ale nigdy kieł jego nie dotknął mądrego Zagraja, przy którym kilkadziesiąt już dzików zginęło. Odyniec się posuwał, ja za nim, lecz w tak obszernych lasach mogło to trwać do wieczora bez skutku, postanowiłem przeto odszukać mego konia i przeciąć drogę dzikowi, pewny, że go pies nie puści. Zanim wszakże konia odszukałem i na zręby powróciłem, minęła nie jedna godzina, aż przecie wjechawszy na szczyt góry, usłyszałem chrypliwy, zmęczony a tak dobrze mi znany głos Zagraja, lecz już bez akompaniamentu, widocznie sam tylko gonił. Prę co mogę konia, zbliżam się, lecz o rozczarowanie! widzę odyńca idącego przez łąkę, psa za nim, dążących do rzeki na pół zamarzniętej, w którą odyniec wskakuje, wydobywa się na drugi brzeg z Zagrajem towarzyszącym mu wiernie, lecz w oddaleniu, z pewnem uszanowaniem. Spadzista droga śliska i kamienista nie pozwalała mi szybko jechać po śniegu, i z góry zobaczyłem dzika z psem wchodzącego do lasu pod bystrą górę. Nadjechawszy nad rzekę przekonałem się, że ani przeskoczyć, ani też przepłynąć można, z powodu

wysokich brzegów i niepewnych lodów. Przywiązałem konia do jednego krzaka wikliny, sterczącego na łące, wskoczyłem do wody, i brodząc zaledwo po pas dostałem się na drugą stronę uszczęśliwiony sukcesem dającym mi możność pomszczenia mych psów. Wlokę nogi za sobą, zadyszany staję na szczycie góry i waham się. czy podchodzić dzika, czy na niego czekać w miejscu, na które przyjść musi wcześniej lub później, a czasu nie było do stracenia, bo słońce chyliło się już ku zachodowi. Z tej niepewności wyzwolił mnie sam odyniec, kroczący majestatycznie rzadkim lasem z parowu pod górę. Gdy się zbliżył na kroków 30, strzeliłem. Przewrócił się na miejscu, a wtem słyszę po drugiej stronie wypowiedziane chrypliwym głosem: „zabił, zabił!“ Ciarki po mnie przebiegły, pot oblał, a nogi tak drżeć poczęły, żem się musiał chwycić rękami drzewa. Przerażony zagłębiam wzrok mój w tę stronę, lecz nic nie widzę — oczywiście zabiłem człowieka. Po długiej chwili piekielnego oczekiwania, widzę postać dźwigającą się z przestraszonym wyrazem na twarzy o kilkanaście kroków od dzika, i zbliżającą się do mnie. Na zapytanie moje. co znaczył jego okrzyk, wykrztusił, że to uczynił z radości. Przezorny chłop widząc odyńca i mnie za nim postępującego, położył się na śniegu, a ja korne dzięki złożyłem Bogu, że obawa moja była płonną. Nie na tem koniec fatalnego dla mnie dnia, na strzał przybiegł gajowy z dwoma chłopami, i obcesowo zabrał się do wydzierania mi z rąk strzelby, a ja byłem sam w obcym lesie, o milę od wsi oddalonym. Krótka walka przeistoczyła się w parlamentowanie i zakończyła łatwą ugodą na podstawie kilku reńskich, nawet nastąpiła szczera życzliwość napastników, bo mi pomogli ciągnąć dzika Nie małe to było zadanie, ułatwione wszakże uboczą, po której sunęliśmy dzika bez wysilenia. Teraz dopiero okazały się trudności, rzeka bowiem stanowiła granicę, trzeba więc było odyńca przeprawić na drugi brzeg. Czterech ludzi staje w wodzie, a ja z moim towarzyszem, który był nadszedł, pcham dzika, chłopi go utrzymać nie mogą, i wpada nam w rzekę na pół zamarzniętą. Pomimo lodowatej wody i mrozu spociliśmy się, a przybywszy na drugą stronę, poczęliśmy za kły, za uszy i nogi przednie ciągnąć patryarchę lasów na brzeg, i wreszcie wyciągnęliśmy go. Fura jadąca do lasu zabrała odyńca i zawiozła do leśniczówki. Przemoczony i zmarznięty przebrałem się i położyłem na sianie, aby przywrócić równowagę strudzonym członkom, a mój towarzysz opowiadał tymczasem moje tryumfy, zapewne z różnymi barwnymi dodatkami, może nie zupełnie zgodnymi z prawdą, gdyż całe towarzystwo przyszło winszować mi i wołać: „Wiwat Wodzicki!“ Towarzysz Z. uniesiony zapałem, ofiarował mi ostatnią butelkę swego szampańskiego wina i kazał ją na podwórzu w śniegu zamrozić. Już to dzień ów był dla mnie bardzo niefortunny, i rzeczywiście nic mi się nie wiodło, dzień, o którym Niemcy mówią, iż można w nim palec w maśle złamać. Do nocy prześladował mnie niemiłosiernie. Wchodzi strzelec i opowiada, że świnia ryjem stłukła zamrożoną butelkę wina. Można sobie wyobrazić wrażenie, jakiem mnie ta wiadomość przejęła, ale homeryczny śmiech rozwiał mgły złego humoru, bo polowanie i moim towarzyszom się udało, więc nawet niezmordowanego Zagraja zaproszono do wspólnego obiadu, rannym psom zaniósł każdy z panów rosołu, a następnie po swobodnej gawędce zakończyliśmy ów dzień ołowianym snem.

Odyniec w jesieni i pod zimę nie strzelany, jest nader niebezpiecznym wrogiem człowieka i psów w choinach, trzcinach i miotłowych zapustach, a ranny i prześladowany zły do wściekłości. Kilka razy za lat młodych chodziłem za nimi, i mam liczne dowody ich odwagi i chęci pomszczenia się za otrzymane rany. Przekonałem się, że największe niebezpieczeństwo jest w impecie ich szarży, oraz że niepojętą jest szybkość tych zwierząt, ważących trzy cetnary, a budowa ciała dozwala biedz galopem po najgrubszych gąszczach. W Medenickiem państwie na dosyć głębokich śniegach polowało nas tylko trzech z dwoma psami w miesiącu Styczniu. Puściliśmy psy na odyńca i obstawili miot, jeden z nas poszedł do barłogu, a po chwili słyszymy wołanie o ratunek i skomlenie psa, pierwej zaś padł pojedyńczy strzał. Był to jeden z odyńców, o którym sprawiedliwie można powiedzieć: *noli me tangere,* bo z barłogu jednego psa ciął, drugiego powalił i poturbował, stłukł mu biodro, lecz nie ciął, i poszedł dalej gąszczami. Zobaczywszy smutne pole walki, usłyszeliśmy, że odyniec jest ranny, lecz również opowiadanie o straszliwej szarży, o bolu boku i niemożności chodzenia. Z całego naszego zastępu zostało nas tylko dwóch i to bez psów. „Chodźmy za nim“ — mówię. Mój towarzysz odpowiada: „To śmierć panie, bo on w młakach lub w trzcinie oblegnie, przed nim żaden z nas nie ucieknie“. Jak powiedział, tak się stało. Odyniec sznurem idzie wzdłuż miotu, wprawdzie farbuje, lecz jasną farbą, nie staje i nie kładzie się nigdzie. Ja naprzód z szaloną zawziętością, mój towarzysz za mną, idziemy przez godzinę bez odpoczynku. Gdyśmy doszli do gęstej trzciny przerośniętej czarną wierzbą, mój *alter ego* w swem poświęceniu mówi: „Ja hrabiego nie puszczę, on tam oblęgł, bo tu już staje, kręci się i kluczkuje, ja pójdę, a pan mnie bronić będziesz, gdy powalony zostanę“. Targ w targ, musiałem ustąpić pierwszeństwa, lecz trop w trop idę za nim z odwiedzionymi kurkami. Przedzieramy się przez gąszcze, za gęste dla zająca, łamiemy trzcinę robiąc ogromny hałas na nasze nieszczęście, nie słyszeliśmy bowiem, jak odyniec dźwigał się z barłogu, pomimo, że to był zimowy, cichy i mroźny wieczór. Nagle widzę rękę mego towarzysza wskazującą na prawo, a po chwili skaczę na dzika patrącam o niego, padam i słyszę wykrzyk: „Jezus Marya!“ Dźwignąłem się szybko ze śniegu, a widząc wolno postępującego dzika strzeliłem. Drgnął wprawdzie, ugiął się, ale znikł mi w gąszczu. Powróciłem do mego towarzysza, dziwnie był blady, a gdy się śmiać począłem z jego strachu, odpowiedział mi: „Pan też nie różowy“. Dziwne to było zdarzenie, ja dzika nie słyszałem, ani też widziałem, on zaś przeciwnie był przygotowany i na sztych do niego strzelił, lecz kula w łopatce ugrzęzła. Chcąc mnie ostrzedz, wskazał ręką, gdzie mam skoczyć, ja zaś rozumiałem, że w tym kierunku odyniec idzie, więc skoczyłem w przeciwną stronę na idącego dzika, i szczęście moje, że mnie ryjem nie zarwał. Uspokoiwszy się nieco, byliśmy oba chciwi zemsty i postanowiliśmy iść za tym srogim odyńcem. Nabiwszy strzelby jeszcze wtedy stemplami, obejrzeliśmy dokładnie proch na kominkach i kabzle, i jak dzieci nie przewidujące niebezpieczeństwa puściliśmy się pod noc w pogoń za dzikiem. Na tropie była obfita, świeża farba z przodu i z tyłu, lecz zwierz idzie bez przystawania, noc nas zaskoczyła, więc powróciliśmy do mieszkania Szwaba. Od Wigilii dzieliło mnie 24 godzin, a jako przykładny mąż i ojciec musiałem być w dniu tym śród kółka rodzinnego z opłatkiem w ręku i z szczerem: Szczęść Boże i życzeniem dosiego roku, a tu znów markotno w duszy na myśl pozostawienia potwora w lesie, a do tego postrzelonego kilku kulami. Myśliwy przeważył nad mężem i ojcem, postanowiłem wziąć odyńca na Święta do domu. Ledwie się szarzeć poczęło, już byliśmy na tropie z dwoma psami w przekonaniu, że już trupa znajdziemy, pchaliśmy się przez gąszcze i trzciny nie puszczając kundysów.

Widocznie cierpiąc mocno, gdyż jak się pokazało przestrzeliłem mu cynadra, chodził dzik ów przez całą noc z miejsca na miejsce, nie wyszedłszy z miotu, układał się kilka razy, lecz z barłogu wypędzał go zapewne ból srogi. Już dziesiąta godzina, uczucie obowiązku, przywodzi na myśl żonę i dzieci, ale namiętność myśliwska nie pozwala porzucić lasu. Naradzamy się we dwóch, co dalej robić, puszczamy wreszcie psa, później drugiego, lecz nasza strategia zupełnie fałszywa, a to z tej przyczyny, że chodząc kilkakrotnie po tym samym tropie za odyńcem, zupełnie zatarliśmy je i psom wiatr odjęli. Bierzemy więc psy na drążek i szukamy tropu po za tem zaklętem kołem. Wreszcie w kępie trzciny ruszył potwór, stanął, fuknął, a gdy psy nadbiegły, poszedł wolno stawając co chwila. Nie wielka więc rzecz była dobić go, ale o wiele trudniej dostać go do domu. Musieliśmy pójść po sanie do wsi, później odwieźć trupa do Szwaba, więc już słońce zachodziło, gdyśmy o chłodzie i głodzie siedzieli na saniach, oddaleni od domu o mil 20. Przez całą dobę jadąc, stanęliśmy w Olejowie o 10 wieczorem, i zastali wszystkich czekających na nas z opłatkiem. Ten przykład nie jednego może powstrzyma od pogoni dzików przed Świętami tem bardziej, żeśmy mieli piekielną drogę w srogi mróz, bez pożywienia, śród istnego cierpienia spowodowanego znużeniem, a do tego odyniec przeważał sanie, wywracał je, sam zaś wypadał, musieliśmy więc z niemałem wysileniem na sanie go pakować. Oto skutki wygórowanej namiętności myśliwskiej.

W tej samej zimie i w tymże lesie doświadczyłem dosyć ciekawego zdarzenia. Przy wesołej gawędce o odbytem polowaniu, na którem nie jeden poległ pies, ale też sowicie był pomszczony, wieczorem oznajmiono mi, że leśniczy pragnie ze mną mówić. Wszedł z psem, rosłym ogarem, widocznie rączym, bo na wysokich nogach, z rozumnemi oczami, i oświadczył mi, że pies ten jest w drugiem polu, i że za jego pomocą zginęło 10 dzików, że wszakże przy owych zaletach ma tę ujemność, iż z przodu atakuje dziki. „Panie S. — rzekłem — twój pies w tych lasach zginie przy pierwszym odyńcu w trzcinach lub młakach“. On na to: „To przepadną moje 50 złr, tyle bowiem za tego psa żądam“. Żal mi się zrobiło myśląc, że może za cenę tego psa ma być kupioną krowa, lub może te pieniądze mają służyć na utrzymanie synów w szkole, więc jakby przeczuciem wiedziony rzekłem wręczając mu pieniądze „Jeśli pies zginie, to raczej niech ja stracę 50 złr. a nie pan“. Z widoczną wdzięcznością przyjął, i począł opowiadać o stoczonych przez tego psa walkach z dzikami. Wtedy każdy z nas wyjeżdżał rano na koniu do jednego z rewirów i tropił, następnie zjeżdżaliśmy się na umówionem miejscu. W tym dniu obtropiliśmy dużego odyńca sądząc po tropie, w niewielkim gąszczu. Chcąc się przekonać o cnotach psa, rozstawiłem myśliwych, i poszedłem w miot z leśniczym. Pies doskonale, bo sznurem i pocichu poszedł do barłogu, naszczekał i wyparł dzika do łaciastego lasu, gdzie rozpoczął walkę z nim. Z początku obszczekiwał go, chwytał i uciekał, później coraz śmielej brał się do dzika, któremu gdy się ta walka sprzykrzyła, wynosił się szybkim truchtem nie atakując ogara. Pies widząc tę zmianę i przenikając zamiary dzika, zabiegał mu z przodu i usiłował zatrzymać, i coraz bardziej rozżarty skakał mu niemal do ryja, odyniec jednak ani razu na niego nie szarżował, widocznie pragnął się wynieść do sąsiedniego lasu. W końcu wszakże uprzykrzyła się zwierzowi ta natarczywość psa, stanął więc na łączce, kilkoma brzozami zacienionej, długo patrzał na psa stojącego przed nim, i w jednej chwili widzimy psa wyrzuconego na trzy metry nad ziemią i spadającego bez życia. Można było pomścić śmierć jego, ale widok ten tak przejmujące na mnie zrobił wrażenie, żem zapomniał o strzelbie i kuli. Gdyśmy do psa przybiegli, leżał w kabłąk zwinięty z raną w sercu bardzo głęboką. „A cóż, czy nie lepiej, że ja stracę 50 złr.?“ rzekłem. — On otarł łzę, poszedł, i już go w życiu nie widziałem.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KORESPONDENCYE.

Podkamień, 1 Maja.

Zaproszony przez dawnego mego towarzysza wypraw myśliwskich p. M. Brzostowskiego na tok głuszców, udałem się w drugiej połowie Kwietnia na to jedyne, nieznane mi dotąd ptasie polowanie. Pod wrażeniem miłych chwil w pamięci pozostałych po tej wyprawie, kreślę to sprawozdanie do „Łowca“.

Udaliśmy się we dwóch w góry, należące do państwa Wełdzirz, których właściciel pan baron Popper podejmował nas z tak serdeczną gościnnością, że się wstrzymać nie mogę od skreślenia tych kilku słów wdzięczności, którą natchnął mnie dwudniowy tamże pobyt. Mało niestety, zbyt mało u nas w kraju znany jest Wełdzirz, a właściwie Ludwikówka. Istna to oaza — śród tych dzikich gór. W ciągu lat kilku zdołał tam pan baron Popper nie wydobytymi z tej ziemi skarbami, ale kapitałami z poza granic przybyłymi uczynić dla kraju pożyteczną, a dla miejscowej ubogiej ludności dobroczynną instytucyę. Nie leży w zakresie moim, jako korespondenta do „Łowca“, opisanie tego zakładu. Niech ludzie fachowi go zwidzą, o nim napiszą, a będzie to pewnie z pożytkiem dla ogółu. Pobieżnie tylko wspomnę, iż w tym zakładzie 1000 robotników dziennie pracuje i znajduje zarobek w okolicy, w której niegdyś co roku głód ludność dziesiątkował, że gościńce, staraniem i kosztem właściciela zbudowane, lepsze są od gościńców naszych powiatowych nawet w równinach, że koryta rzek i strumieni uregulowane, że 500 kloców świerkowych i jodłowych odpływa dziennie do Odesy, i zużytkowanym bywa skarb butwiejący niegdyś w górach naszych. Lasom żadnego to uszczerbku nie czyni, są one bowiem przez ludzi fachowych usystemizowane, i na przyszłość ubytku materyałów obawiać się nie ma powodu.

Wróćmy wszakże do celu naszej wyprawy. Głuszec był dotąd przez wielu naszych myśliwych uważany jako postać mistyczna, podobna do żelaznego wilka. Mnie samemu zdarzało się już nieraz spotkać myśliwych nie wierzących w istnienie tego ptaka w naszym kraju. Nie brak głuszców jest tego przyczyną, lecz brak myśliwych na nie. Polowanie na głuszca, tak wielce za granicą cenione, jest w górach naszych mało komu znane. Głuszcowych myśliwych u nas prawie nie ma, a ptak ten szlachetny stał się z tego powodu niejako monopolem kłusownictwa. Z małymi wyjątkami głuszec w górach naszych pada od strzału chłopa - kłusownika, który go zazwyczaj strzela przypadkowo na połoninach lub płajach, w lecie lub jesieni, gdy ptak na żer leci. Ale o toku, tej prawdziwej myśliwskiej biesiadzie, nikt prawie z mieszkańców gór pojęcia nie ma. W Austryi, Styryi, Tyrolu, gdzie tok głuszców pierwszorzędne miejsce w sporcie myśliwskim zajmuje, otaczają właściciele rewirów te ptaki osobliwszą pieczołowitością. U nas przeciwnie — głuszec jest Pariasem oddanym na pastwę kłusownictwa, a mimo togo nasze poczciwe góry taką ilość ich mieszczą, że moglibyśmy w tym względzie wytrzymać konkurencyę z Alpami, gdybyśmy choć w cząstce podobnych jak oni

posiadali myśliwych. Dowodem tego niech będzie odbyta nasza tegoroczna wyprawa w góry Wełdzirza. We dwóch puściliśmy się na oślep w te góry, bez żadnej wskazówki, podobni do rybaków, którzy wypłynęli na dwóch łódkach, by łowić na wędki śledzie w Oceanie. Wytrwałość, cierpliwość, a przedewszystkiem niestrudzona praca mego towarzysza były powodem, żeśmy doszli do pożądanego celu i koczując przez tydzień bez dachu na szczytach gór, okrytych śniegiem wynaleźliśmy tok głuszczów. Z tych zabiliśmy pięć, postrzelili trzy, których nie mogliśmy podnieść dla rozmaitych przeszkód, a dwa uszły chybione. Co wieczora wychodziliśmy sami na podsłuchy i zasadzaliśmy głuszce, na które przed świtem wyruszać było potrzeba Jest to zadanie, które w polowaniu zorganizowanem straż leśna wypełniać powinna, ale prawdziwemu myśliwemu o ileż milej powinność taką samemu wypełnić.

O ilości głuszców w górach naszych niech zaświadczy ta okoliczność, iż jednego poranka widzieliśmy 16 tokujących kogutów. Ilość kur, któreśmy spotykali, stosunkowo bardzo znaczna.

Opisywać tok głuszców byłoby arogancyą z mej strony, gdyż sądzę, iż przeważna część naszych czytelników już tej rozkoszy zaznała, a ktoby jej nie znał, ten czytał o tem mistrzowski opis Artura Barthelsa, wobec którego ja z pokorą moje pióro składam. Tę jedną tylko śmiem uczynić uwagę, że strzał do głuszcza w górach o wiele trudniejszy, niż w równinach Polesia i Litwy. Łaskawy czytelniku! jeśli nie jesteś zwykłym strzelaczem, ale myśliwym z krwi i kości, jeśli ogień Dyany w twej duszy tli, wyjedź kiedyś na głuszce w nasze góry. Ale oblicz się wprzód z siłami, z wytrwałością, z cierpliwością i zdrowiem. Nakreślę ci nie pessymistycznie wierny obraz takiej wyprawy: Przyjeżdżasz dajmy na to do Ludwikówki, gdzie cię gospodarz z otwartemi przyjmie ramiony i wszelkie uczyni ułatwienia. Dwaj górale obładowani prowiantem, jak w puszczy wielbłądy, wyprowadzą cię na szczyt góry, na kilka tysięcy stóp nad powierzchnią morza. Tam pośród śniegów sięgających wyżej kolan brodzić będziesz godzin kilka, zanim się dobijesz połoniny, na której stoi kuleba, a w niej twój nocleg. Nie sądź, aby owa kuleba był *un hôtel garni*, w którym wszystkiego dostaniesz, do czego cię życie otoczone komfortem przyzwyczaiło. Jeżeli pogoda, to pół biedy jeszcze, ale w razie deszczu nie zapominaj, że dach kuleby nie jest to *wooter-proof*, i nad ranem znajdziesz jezioro na twej pościeli. A ta pościel wiesz jaka? Gałązki świerkowe i warstwa mchu. Co do strony gastronomicznej, to oświadczyć ci muszę, iż musisz być swym własnym kucharzem. Sądzisz, że przybywszy do tej kuleby, strudzony marszem forsownym po śniegu, zaraz spocząć możesz? O nie! Bierz strzelbę na plecy i idź na podsłuchy! Zasadzaj głuszcza na rano, bo od tego jutrzejszy twój poranek zależy. Idziesz na północny stok gór śród śniegów, w które zapadasz się znowu powyżej kolan, stajesz przed starą jodłą — cisza do koła! — cisza górska! — cisza, o jakiej żaden mieszkaniec miasta pojęcia nie ma! Słońce zaszło, zmrok zapada, kos zaszczebiotał, skowronek leśny kończy swoją barkarolę. Nagle słyszysz szum, w obec którego szum lokomotywy niczem się wydaje, czy to śnieżna lawina z gór spada? Nie! to leci głuszec na tokowisko jak grom uderza o jodłę, na której zasiada, zdaje ci się, że wraz z nim całe drzewo runęło. Po chwili drugi i trzeci, jeden, drugi i trzeci trzepie się, telęka, tokuje, ale krótko i niewyraźnie. Nie idź do niego, bo o zmroku go nie dopatrzysz, czekaj do rana, o świcie będzie on twoim. Masz zasadzone trzy głuszce, więc wracaj do kuleby, ale cicho, by ich nie spłoszyć. Ognisko, na którem płonie stos buczyny, przy nim gotująca się dla ciebie strawa na wieczerzę, ale nie zapomnij, że sam jesteś jej kucharzem, potem kilka słów gawędy z towarzyszem i z góralami, którzy ci o słynnym Doboszu krocie anegdot opowiedzą — oto kres dnia twojego. Rzucaj się na twą pościel z gałązek i mchu, podziękuj niebu, że chmur z deszczem i śniegiem na ciebie nie zsyła, i usypiaj jeśli możesz. Usypiaj, łatwe to słowo, ale do wykonania trudne mimo znużenia z odbytego pochodu. Nie, drogi czytelniku! jeśli jesteś myśliwym z krwi i kości, to ci zaręczam, że spać nie będziesz. Szum skrzydeł głuszca, który przeleciał nad twoją głową i jego telękanie spać ci nie dadzą, twój sen będzie gorączkową mrzonką. O 2ej godzinie po północy musisz być na nogach, bo tok się rozpoczyna przed świtem. Nie, ty nie zaśniesz, będziesz czuwał do 2ej i zbudzisz śpiącego towarzysza. Noc! podchodzimy ku zasadzonym głuszcom, zazdroszcząc baletniczce lekkości w jej *pas de Zéphir*, radzibyśmy ich użyć na śniegu, w którym zapadamy się czasem do pasa. Jesteś blisko drzewa, na które z wieczora zapadł głuszec. Stoisz jak głaz i słuchasz. Odzywa się! Bicie serca nie pozwala ci dosłyszeć pieśni. Podchodzisz — stajesz — on spiewa ciągle... Dla czego głuszec, ów Don Żuan *par excellence*, dobiera sobie do tokowania stoki gór śniegiem okryte? Czyż potrzebuje tego chłodu dla ostudzenia swych miłośnych zapałów? Nie wiem, ale zrobił on na mnie wrażenie konkurenta wielkoświatowego, goniącego raczej za posagiem swej bogdanki, nie za jej wdziękami. Wygięty na gałęzi oświadcza się swej dulcinei, przysięga wieczną miłość, gotów jest do walki z każdym rywalem, grozi samobójstwem, jeśli luba odtrąci jego uczucia. Ona przerażona, zwalczona, oddaje mu rękę — zwyciężył! Tok skończony o wschodzie słońca. Kura zasiada na gnieździe, kogut odlatuje za żerem na połoninę. Zupełnie jak w naszym świecie: ślub się odbył, żona zajmuje się gospodarstwem domowem, mąż na całą noc idzie grać kwindecza w kasynie.

Strzelcze! jeśli masz dość zimnej krwi, by nie przyspieszyć kroku podchodząc głuszca w pieśni — wtedy on pewnie będzie twoją zdobyczą, ale biada, jeśli krok zrobisz, gdy on telękać przestanie — spłoszysz go, i cała twoja praca na nic. Ze zdobyczą czy bez niej wracasz o wschodzie słońca do kuleby, zawsze szczęśliwy, zadowolony i pełen najmilszych wrażeń. Teraz dopiero nadchodzi prawdziwa chwila spoczynku i snu, snu, jakiego nie zaznałeś nigdy na sprężynowym materacu, chociaż tu mech jedyną twoją pościelą. Budzisz się w południe — to obiadowa pora — i zjadasz przygotowaną, skromną strawę — pieczone ziemniaki, czy kuleszę, a smakować ci to będzie lepiej, jak najwykwintniejszy obiad *„aux frères provenceaux“*.

Taki tydzień spędziłem w tych górach, wspomnienie jego milszem mi jest od wrażeń wszelkich podróży moich odbytych po cywilizowanych europejskich krajach, i pod tem wrażeniem kreślę te słowa. Jakąż rozkosz sprawićby mogły w kraju naszym polowania na głuszce, gdybyśmy na nie więcej mieli myśliwych, i gdyby tego szlachetnego ptaka większa otaczała opieka! Dla czego nazwano orła królem ptaków? Czyż tylko istoty szkodliwe i krwi łaknące mają mieć przywilej noszenia korony? Gdyby w ptasiem rodzie obwołano Rzeczpospolitą, i ptaki swego tyrana orła z tronu strąciły, a wreszcie jak się to zwykle w republikach wydarza, strudzone anarchią znów o elekcyi nowego zamarzyły monarchy, gdyby wtedy elekcyę nowego władcy oddano pod ogólne głosowanie to pewnie skrwawioną koronę, strąconą z głowy orła, złożonoby na szlachetnej skroni głuszca, tego prawdziwego choć nie chciwego krwi króla gór naszych.

A my członkowie Towarzystwa łowieckiego, czyśmy dotąd uczynili co dla ochrony tej szlachetnej, tak wszędzie gdzie indziej cenionej zwierzyny? Czyśmy ją ochraniali od zagłady wobec kłusowników, którzy na płajach i połoninach bezkarnie kury strzelają? Czyśmy zabezpieczyli ich lęg od łakomstwa pastuszków, którzy na połoninach z głuszcowych jaj smaczną zjadają jajecznicę? — Nie! My zajmujemy się losem wędrownych ptaków, włóczęgów zamorskich, którzy wedle kaprysów własnych lub kaprysów atmosfery u nas goszczą. My nie myślimy o stałych mieszkańcach naszej ziemi, o głuszcach, cietrzewiach, jarząbkach, kuropatwach. Już to wyznać musimy, że na tegorocznem Zgromadzeniu Towarzystwa łowieckiego nie mieliśmy szczęścia do wniosków. Pierwszy tyczący się zaprowadzenia kart myśliwskich, zanim wniesiony został do Sejmu krajowego, już w kilku artykułach „Łowca“ z tak silnymi spotkał się argumentami, wskazującymi jego niepraktyczność, iż po rozumie mężów zasiadających w Sejmie nie możemy się spodziewać, aby mógł być uwzględnionym. Jest to pewne, że podobna ustawa uchwalona stałaby się nieznośną sekaturą dla porządnych myśliwych ale nie dotknęłaby nigdy kłusowników, którzyby zwierzynę po nocach dalej wybijali na zasiadkę, nie troszcząc się o karty myśliwskie. Zaprowadzenie takiej ustawy byłby to strzał z ręki niezręcznego strzelca, który spudłował zwierzynę, a postrzelił obok siebie stojącego sąsiada, lub siebie samego. Przykre na mnie zrobiło wrażenie, że Towarzystwo łowieckie stara się o posadę jakiegoś nowego Steueramtu, nakładającego na kraj nowy podatek, i wyciskającego z nas pieniądze na cele obce krajowemu łowiectwu. Nie w zaprowadzeniu kart myśliwskich leży środek zapobiegający kłusownictwu, ale w energii i sprężystości właścicieli i dzierżawców polowań, i w popieraniu ich przez Towarzystwo łowieckie i Władze. Doświadczenie nas uczy, że gdzie właściciel lub dzierżawca rewiru dbały o swe dobro, sprężystej i sumiennej używa straży myśliwskiej, tam zwierzostan wzrasta w zadziwiających rozmiarach, — chyba klęski elementarne staną na przeszkodzie. Sparaliżowanie kłusownictwa tylko dozór i praca sumiennej straży przeprowadzić zdołają, a żadne karty myśliwskie na to nie pomogą. Właściciele czy dzierżawcy polowań starajmy się i pracujmy w tym kierunku! Nie składajmy opieszałości własnej na karb braku poparcia ze strony Urzędów. Nie wymagajmy, ażeby Starosta powiatowy, jego urzędnicy i żandarmerya byli sami w rewirach naszych pogonią za kłusownictwem, bo to rzecz niemożliwa. To jest zadaniem naszej straży leśnej i myśliwskiej. Nie obsadzajmy posad opiekunów rewirów naszych przez gracyalistów, oficyalistów do niczego innego niezdolnych i amatorów, ale powierzajmy je leśnikom zdolnym i zamiłowanym w swoim zawodzie, a wtedy i leśnictwo nasze i zwierzostan zakwitną. Kłusownictwo zniknie lub przejdzie do minimalnych rozmiarów. Łatwiej jest zapewne z założonemi rękami narzekać na brak poparcia Urzędów powiatowych, jak samemu strzedz swego dobra. Łatwiej jest biernie oczekiwać manny spadającej z nieba, jak na kawałek chleba zapracować.

Drugi wniosek tyczący się zakazu strzelania słonek na wiosnę opatrzony na szczęście nasze niezbyt liczną ilością podpisów, wywołał z piersi prawdziwych myśliwych naszych okrzyk oburzenia. Kilka poważnych głosów nie tylko myśliwych ale i przyrodników wykazało w szpaltach „Łowca“ tak dobitnie niepraktyczność tej myśli, iż nad wnioskiem tym zdaje mi się, można śmiało przejść do porządku dziennego. Słonki same złożyły tej wiosny atest niezbity, iż ich opiekunowie są w błędzie. Po obfitym jesiennym ciągu, ominęły tej wiosny lasy nasze, bo im droga wyjątkowo wypadła przez Hiszpaniję i Portugaliję. Jak nam donoszą dzienniki, Hiszpanie i Portugalczycy, którzy nas widocznie mniej kochają, niż nasi wnioskodawcy Hiszpanów i Portugalczyków, niepostawiwszy poprzednio u siebie humanitarnego wniosku, jak nasi opiekunowie rodu słonczego, mordowali u siebie tej wiosny owych kapryśnych turystów krociami. Zapewne, że zwolennicy zakazu strzelania słonek na wiosnę, dobili się tem nowej chluby. Udręczając takim projektem najlepszych myśliwych w swoim kraju, zaskarbić sobie mogą wdzięczność nietylko Moskali, Niemców, Norwegczyków i Szwedów, ale nadto Hiszpanów i Portugalczyków. Niech wszelako nie myślą nasi opiekunowie słonczego rodu, że są na drodze wynalazków, i że od nich pierwszych ta myśl genialna wychodzi. W Niemczech i w Austryi była ta sprawa już od dawna poruszaną, ale praktyczny zmysł niemiecki pojął to dokładnie, że tylko konwencya międzynarodowa mogłaby to do jakiegoś doprowadzić rezultatu, a niemożliwość takiej konwencyi leży jasno jakby na dłoni. Tak platonicznych miłośników cudzych krajów, jakich widzimy u nas w tej chwili, napróżnoby szukać między Niemcami a nawet między innymi ludami Europy. Nie! taki platonizm jest tylko monopolem Galicyi. W niemieckich prowincyach Austryi ustawa podobna nigdy przeprowadzoną nie będzie dla prostej przyczyny, iż kto czyta sprawozdania w *Jagd-Zeitung*, przekonać się może, iż wiosenne polowanie na słonki jest ulubioną rozrywką Najjaśniejszego Pana i Następcy tronu, myśliwych pewnie dbałych o zwierzostan kraju. Żadne więc Towarzystwo przez samą grzeczność nie wniosłoby projektu do ustawy niepraktycznej i nielojalnej zarazem.

Nad tym więc naszym niefortunnym wnioskiem przechodząc do porządku dziennego, możemy tylko dać radę opiekunom rodu słonczego, by się na przyszłość osobiście *pro publico bono* wstrzymywali na wiosnę od tych w ich przekonaniu wielce szkodliwych łowów, a ta ich wstrzemięźliwość tak zbawiennie wpłynie na ilość słonek w naszym kraju, o ile byłby wpłynął ich wniosek w życie wprowadzony w Galicyi na ilość słonek w całej Europie. *Leopold hr. Starzeński.*

Bilcze, 8 Marca 1880 r.

Ze sprawozdań łowów odbytych w tym roku, umieszczonych w łamach „Łowca“, spostrzegam w całym kraju zadziwiający rezultat w ilości sarn. Jakiej okoliczności tę pomyślność zawdzięczyć należy, wypadałoby dokładnie zbadać w celu dopomagania dalszemu mnożeniu, gdyż te stworzenia mają niezliczonych wrogów, pomiędzy którymi wilki są straszliwymi. Kilkanaście razy miałem sposobność na białej stopie śledzić napady wilków na sarny: na takie łowy wyruszają zwykle najmniej dwa wilki, jeden zaczaja się jak kłusownik na stanowisku przywarowawszy, drugi zaś napędza stadko sarn. Rezultat zawsze pomyślny dla tych żarłoków, gdyż z sarny tylko farba na śniegu pozostaje. W roku 1877 obliczyłem dwadzieścia kilka sarn rozszarpanych przez 4 wilków w jednym tygodniu w lesie 1800 morgowym. Rozbójników tych tropiłem z całą zapamiętałością, gdyż obawiałem się wyniszczenia zwierzostanu, który w wymienionym lesie liczył się do pierwszorzędnych w kraju. Zabiegi moje uwieńczone zostały pomyślnym skutkiem, gdyż tylko jedna sztuka umknąć zdołała, a trzy padły od strzałów. Tropienie i polowanie na wilki jest nader mozolne, uwzględnić bowiem potrzeba, że ten żarłok w jedną noc ubieży kilka mil, a wyrządziwszy szkodę, znika jak podjazd kozacki z obozu nieprzyjacielskiego. Najpewniejszy środek tępienia wilków jest następujący: Z zaduszonej owcy zdejmuje się skórę z brzucha i z nóg, aby się trzymała tylko na grzbiecie, w kilkunastu zacięciach

w mięsie i w brzuchu wsypuje się strychninę (do jednej owcy 4 gran), skórę napowrót zaszywa się na owcy, a tak przyrządzoną zakopuje się w koński obornik na 24 godzin. Specyał ten położony w lesie przywabi niezawodnie zgłodniałe wilki i wytruje każdego przybysza do kniei. Do zatrucia radzę używać strychniny czystej, a nie w połączeniu z innemi ciałami, gdyż ostatnia zawieść może. Miałem dowody, że pies struty strychniną nieczystą, chorował przez całą dobę i wyzdrowiał zupełnie. Dwa wilki, które zjadły owcę zatrutą taką strychniną, wyszły z kniei zdrowe, zanurzywszy kilka razy mordy w śniegu. W kniejach, w których przebywają dziki, jednej nocy skonsumują te stworzenia zatrutą owcę. Wytłómaczyć sobie niemogę, jakim sposobem dzik nieulega zatruciu strychniną Kilka razy tropiłem dzika, który zjadł pół owcy zatrutej, przy której leżały psy i ptactwo nieżywe. Trop dzika był zawsze regularny i niezdarzyło mi się ani razu znaleść nieżywego. Tej zimy dzik zjadłszy prawie całą owcę zatrutą, poszedł w sąsiednie lasy, dostawszy tylko wymiotów, które go prześladowały na $^1/_4$ milowej drodze, a później ustały zupełnie

W tutejszej okolicy zjawiła się znaczna ilość wilków, które buszują między sarnami. Zawitały one do nas w Lutym, zapewne za Zbruczem wylęgło się to plugastwo, które nas trapi niemiłosiernie. Zatrute owce kładziemy w lasach, które jeżeli dziki nie zjedzą, konsumują wilki. W zeszłym miesiącu struły się trzy wilki w tutejszych lasach

Dodatkowo uznpełniam korespondencyę następującem zdarzeniem: W r. zeszłym w lasach Ułaszkowieckich, leśny Danyło Biły spostrzegł w Kwietniu wilczycę szczenną na linii w lesie. Całą swą uwagę zwrócił na wynalezienie gniazda tych szkodników, chodząc od jednego pochylonego do następnego drzewa po całym obszarze 2700 morgowego lasu. D. 17 Maja spotkał robotników w lesie, którzy mu powiedzieli, że idąc przed godziną przez las, widzieli gniazdo wilcząt i starą. Danyło Biły udawszy się na wskazane miejsce, spostrzegł tylko legowisko, od którego w jednym kierunku prowadziła wydeptana ścieżka, a świeżo poruszone liście upewniły go o ucieczce wilczycy. Bacznie śledząc wspomnioną ścieżkę, znalazł o 50 kroków od legowiska jedno młode, i tak dalej co kilkanaście kroków leżało wilczę. Ucieszony stary Danyło naliczył sześcioro ślepych jeszcze wilcząt. W pięć dni później t. j. 22 Maja znalazł siódme wilczę tłuściutkie w nowem legowisku. Wydział Rady powiatowej w Czortkowie wypłacił wymienionemu leśnemu nagrodę pieniężną.

S. Piotrowski.

Wybrani na pełnem zgromadzeniu Rady Oddziału Towarzystwa agronomicznego Jarosławskiego do przedłożenia podjętej tamże przez nas sprawy myśliwstwa, a względnie przyczyn, dla których zwierzyna u nas się nie pomnaża; nakreśliliśmy wywód tej sprawy, nie rozwodząc się szerzej nad znaczeniem, jakie myśliwstwo w gospodarstwie krajowem miećby mogło, podobnie jak w krajach ościennych, gdzie przynosi niemałe dochody, u nas zaś mimo najkorzystniejszych warunków, staje się tylko marną rozrywką, lub nawet ciężarem. Jakaż tego jest główna przyczyna, nie inna, jak tylko ta, że własność nie doznaje dostatecznego poszanowania Niestety Władze przyczyniają się wielce do owego nieposzanowania własności, nie wymierzając ściśle kary za przestępstwa przepisów łowieckich. Wszakże §. 36 patentu z d. 24 Października 1852 r. wyraźnie orzeka, że przestępstwo nieprawnego noszenia broni podlega karze od 5 do 15 złr.. a następny §. 37, że przy okolicznościach obciążających winę może być kara do 300 złr. podniesioną. Taka kara, choćby tylko raz dla przykładu wymierzona, powściągnęłaby niezawodnie zapędy kłusownicze. Dotąd nie było wypadku, przynajmniej w powiecie Jarosławskim, by ostrzejszy wymiar kary był zastosowany, jak 15 złr. Czyż taka pieniężna kara powstrzyma człowieka z gruntu niemoralnego, który nietylko sam, ale też z rodziną swoją nieustannię a bezprawnie za zwierzyną się uędza, całemi nieraz furami zwozi ją do miasta na sprzedaż, wyciąga z niej znaczny dla siebie dochód, a jako kłusownik z zawodu jest postrachem dla straży leśnej. Władze lekceważą sobie myśliwstwo, a z niem i Ustawę, a na tem cierpi dobro kraju i interes ogółu Zdarza się też często, że cytowany oskarżony nie staje rozmyślnie na termin, sprawa przewleka się zbyt długo, a skarżący w końcu zniechęcony wyrzeka się wymiaru sprawiedliwości. — Nie mniej ważną jest łatwość sprzedaży zwierzyny po miastach i miasteczkach. Tę wykupują chętnie albo mieszkańcy lub handlarze izraelici. To złe zasługuje na szczególniejszą uwagę, gdyby bowiem kłusownikowi zatamowano sprężyście możność zbycia kradzionej zwierzyny, wnetby porzucił takie niemoralne zarobkowanie. i zwrócił się ku prawemu. Możeby się dało kłusownictwu w tej mierze skutecznie zapobiedz upoważnieniem w każdem miasteczku (przynajmniej powiatowem) jakiej uczciwej firmy handlowej do wyłącznego zajęcia się sprzedażą zwierzyny. Lecz i tu nasunęłaby się niemała trudność w nabywaniu owej zwierzyny, mianowicie w rozpoznaniu kłusowniczej a prawnie ubitej, zresztą ceny zwierzyny musiałyby się podnieść, właściciel bowiem polowania, utrzymujący straż myśliwską, żywiący zwierzynę, w ogóle łożący znaczny koszt na myśliwstwo, nie może jej zbyć tak tanio, jak kłusownik, który prócz własnego trudu żadnych nie ponosi kosztów. Wreszcie handel taki musi też mieć zapewniony zysk Przyznajemy, iż nie łatwo tę sprawę uregulować, nie wątpimy jednak, iż jeżeli Towarzystwo agronomiczne i łowieckie szczerze się nią zajmą, każdy właściciel polowania chętnie choćby tylko jakąś częś ubitej zwierzyny po niższych cenach dla niezamożnych konsumentów poświęcić zechce.

Streszczając powyższy wywód wnosimy prośbę do Towarzystw gospodarczego i łowieckiego, by wyjednały u Wysok. c. k. Namiestnictwa:

1) Szybki, energiczny i ostry wymiar kary za przestępstwa kłusownicze, zgodny z wymaganiem Ustawy łowieckiej.
2) Podjęcie rzuconej myśli co do handlów zwierzyną w miasteczkach powiatowych (szczególnie garnizonowych).
3) Wzięcie pod rozwagę kwestyi opodatkowania strzelb myśliwskich i psów bez względu na rasę i użytek, co też niezawodnie do podniesienia zwierzostanu w kraju znacznieby się przyczyniło.

Mało psów służy w istocie do strzeżenia zagród domowych, reszta zaś wyciąga koszta, czyniące dosyć dotkliwą ujmę w gospodarstwie domowem, lub, jak u włościan, źle żywiona i pielęgnowana, włóczy się, nieraz prawie stadami, i znaczną czyni szkodę w zwierzostanie. Nie zawsze wzgląd stosunków sąsiedzkich, przyjaznych lub innych dozwala bezwzględnie psy owe kłusownicze tępić. Zresztą takie nadmierne rozmnażanie się psów, źle żywionych i chowanych, szerzy również wściekliznę, narażające ludzi i zwierzęta domowe na zagrażające życiu następstwa. Opodatkowanie wysokie psów zmniejszyłoby znacznie ich liczbę, i stałoby się powodem staranniejszego ich utrzymywania. W końcu niechby c. k. Żandarmerya, strzegąc dobra i bezpieczeństwa, przestrzegała, by psy po wsiach były uwiązane, niechby właściciele i wójtowie za włóczące się psy do odpowiedzialności byli pociągani.

Włodzimierz Yunga.

KRONIKA.

Prawo włościan Królestwa Polskiego do rybołowstwa na wodach przylegających do ich gruntów. (Gazeta rolnicza w Warszawie z d. 18 Kwietnia 1880 r.).

Komitet do spraw Królestwa Polskiego rozpatrzywszy wniesiony przez ministra spraw wewnętrznych ostateczny projekt przepisu względem korzystania włościan w guberniach Królestwa Polskiego z prawa do rybołowstwa, przysługującego im na zasadzie Najwyższego ukazu z d. 19 Lutego 1864 r. o urządzeniu włościan, proponował dla rozwiązania wynikłych kwestyi postanowić:

1. Prawo do rybołowstwa w rzekach przylegających do gruntów, które przeszły na własność włościan w guberniach Królestwa Polskiego na zasadzie Najwyższego ukazu z d. 19 Lutego 1864 r., przysługuje gminom wiejskim niezależnie od tego, czy prawo rybołowstwa jest zapisane w tabeli likwidacyjnej, albo niezapisane.

2. Jeżeli wedle tabeli likwidacyjnej, albo nadawczej, włościanom przyznano prawo rybołowstwa w jeziorze, to prawo włościan do rybołowstwa w takiem jeziorze przysługuje im w formie i rozciągłości. określonej przez postanowienie urzędów do spraw włościańskich.

3. W razie zatargów pomiędzy właścicielami jezior i gminami wiejskiemi, którym nadane zostało prawo rybołowstwa, co do formy i rozciągłości tego prawa, urzędy do spraw właściańskich wydają decyzyę co do ścisłego oznaczenia formy i rozciągłości tego prawa w porządku przepisanym w §. 1302, 2800 i 2874 post. komitet. urządz. Przytem prawo przybrzeżnego rybołowstwa, stósownie do zwyczajów miejscowych, powinno być zawsze przyznawane włościanom; jeźli zaś oprócz przybrzeżnego, włościanie użytkowali też i z innego rodzaju rybołowstwa, to im przyznaje się prawo do tych rodzajów rybołowstwa, z których oni rzeczywiście użytkowali w czasie wydania ukazów z d. 26 Maja 1846 r., 19 Lutego 1864 r. i 28 Października 1866 r.

4. Właścicielom jezior, w których prawo rybołowstwa przyznano gminom wiejskim, dozwala się zawierać z temi ostatniemi dobrowolne umowy o zamianę tego prawa, stosując się do tych zasad, które są przepisane dla zmiany serwitutów.

5. Właściciele jezior, w których prawo rybołowstwa przyznano gminom wiejskim, nie mogą środkami sztucznymi, jako to, osuszeniem jezior, odprowadzeniem z nich wody itp. tamować albo ograniczyć rybołowstwa gmin wiejskich, bez zgodzenia się na to tych gmin.

6. Ziemie, z których wody jezior ustąpiły, w razie zniżenia się w nich poziomu wody z przyczyn naturalnych, od woli właścicieli niezależnych, pozostają w zupełnem posiadaniu i rozporządzalności właścicieli jezior, lecz przytem gminy wiejskie nie utracają przyznanego im prawa rybołowstwa, jeżeli to prawo nie ogranicza się do jednego tylko rybołowstwa przybrzeżnego i właściciele jezior obowiązani są dać włościanom wolny dostęp dla użytkowania w nich z rybołowstwa.

7. Prawo rybołowstwa w jeziorach albo w częściach jezior, które przeszły na własność włościan podług tabel likwidacyjnych i nadawczych, chociażby zapisanych do tychże w liczbie nieużytków włościańskich przysługuje włościanom bezwarunkowo i wyłącznie, jako właścicielom ziemi przez jezioro zajętej, na ogólnej zasadzie prawnej.

8. Rozpatrywanie sporów i skarg, wypływających z użytkowania z prawa rybołowstwa w jeziorach, dokonywa się przez urzędy do spraw włościańskich, w myśl przepisów Najwyższego Rozkazu z 4 Maja 1876 r., o rozpatrywaniu skarg na naruszenie lub przekroczenie spraw serwitutowych.

9. Wszystkie zapadłe w urzędach do spraw włościańskich, przed wydaniem niniejszego postanowienia, ostateczne decyzye w przedmiocie przyznania włościanom praw do rybołowstwa w wodach przylegających do ich gruntów, jak również w przedmiocie zakresu i sposobów użytkowania z tego prawa, pozostają w swej mocy i żadnej rewizyi podlegać nie mogą.

Najjaśniejszy Pan na protokóle komitetu 8 Lutego 1880 r. raczył napisać własnoręcznie: *wykonać.*

P. R. Tendencya i szkodliwość tej Ustawy, obowiązującej dziś w Królestwie Polskiem, nadto są uderzające, byśmy potrzebowali obszernie o nich mówić. Czyż takie prawo nie wiedzie do bezprawia?

Krasiczyn, 28 Kwietnia.

Dowiadujemy się z autentycznego źródła, że JE. hr. Włodz. Dzieduszycki i JO. książę Adam Sapieha postanowili polować u siebie na rogacza tylko od początku Lipca do końca Października to jest w tym czasie, kiedy rogacz posiada zupełnie wykształcone rogi. Polując w innej porze a mianowicie w zimie, kiedy rogacze zrzucają rogi, pozbawiamy się najprzyjemniejszych wrażeń, jakie sprawia rogacz występujący na myśliwego w całej swej okazałości, następnie zrzekamy się posiadania pięknych rogów, będących ozdobą tego szlachetnego zwierza i marnujemy najpiękniejszą jego część.

Donosząc o tem, żywimy przekonanie że wielu innych myśliwych pójdzie za tym przykładem i polować zechce na rogacza czy to na podjazd czy z nagónką tylko we wczesnej jesieni. *R.*

Z Rudeńskiego.

Zdaje mi się, że nie będę spiewał *solo* pieśń żałośną na temat tegorocznego fatalnego ciągu słonek. Rozpoczął się on dopiero 8 Kwietnia a trwał do 16. Tylko 13 Kwietnia słyszałem cztery, z których dwie zabiłem. — Smutniejszą jeszcze wieść przynoszę — zajęcy prawie wcale nie ma. Przechodząc znakomitą 600 morgową knieję wzdłuż i wszerz, w której padało po 100 zajęcy na jednem polowaniu, znalazłem ich zaledwie cztery. *E. A.*

W liście członków galic. Tow. łow. opuszczono:

Barthels Artur.
Pańkowski Kazimierz.
Towarzystwo rybackie w Krakowie.
Walewski Antoni.

Kto nie polował na tokujące głuszce, ten nie ma pojęcia o uroku takiego polowania. Już sama wiosna, budząca się ze snu zimowego natura, nocleg w lesie połączony z trudami, świtanie, podchodzenie tokującego ptaka tyle ma w sobie poezyi, iż obok tego rodzaju polowania inne obojętnemi i nader prozaicznemi się stają. Gra tego ptaka tak głęboko wnika w duszę myśliwego, iż za najwyższą rozkosz myśliwską poczytuje spotkanie się z nim i ubicie jego, i że szeroko rozpisuje się lub opowiada o takiem niezwykłem a wielce każdego łowca interesującem zdarzeniu. Niestety rzadkim jest już głuszec u nas, wyuzdana namiętność myśliwska, niepohamowane kłusownictwo, wreszcie trzebienie lasów i kultura ich wyniszczyły lub wypłoszyły go, żyje on bowiem swobodnie tylko w głębokiej ciszy. Chyba w mało dostępnych puszczach leśnych znaleść go dzisiaj można, a tych coraz mniej, więc tcż i głuszec staje się z każdym dniem rzadszym.

Polowałem na nie w Szepetówce na Wołyniu z hr. Arturem Potockim, któremu chętnie oddaję hołd uznania jako niezwykłemu myśliwemu i strzelcowi. Rezultat był bardzo świetny, ubiliśmy bowiem w 9 rankach 11 sztuk, z tych hr. Artur Potocki 5, ja zaś 6. Czas był piękny, toki dobre lecz krótkie. Później polował brat mój, i zabił w pierwszych dniach Maja w Szepetówce jednego, a w Sławucie drugiego głuszca. Mamy ciekawy i plastyczny opis polowania na niego, skreślony przez p. Barthelsa. Z wielką ostrożnością należy nie podchodzić, ale podskakiwać do niego w chwili, gdy gra, w przestankach zaś stać nieruchomo, jak głaz, najmniejszy bowiem szelest płoszy go. Mimo tego jednak brat mój cztery razy strzelał do tego samego, spokojnie na drzewie siedzącego głuszca, i dopiero czwartym strzałem go spuścił.

Roman hr. Potocki.

Krukienice, 2 Maja.

Opieram na trzydziesto-letniem doświadczeniu zdanie moje co do bębnienia kszyków, których przeszło 20.000 sztuk ubiłem. Zupełnie nie zgadzam się z twierdzeniem, jakoby głos ów z organów głosowych wychodził, również z mniemaniem, iż wynika on z zetknięcia się końcówek piór rozwartego ogona z końcówkami piór skrzydłowych przy szybkiem wirowaniu w powietrzu. Badałem tysiące razy bębniącego kszyka nad moją głową, i przekonałem się, że głos ów pochodzi ze samych lotek i to głównie z przednich kolanek, nie zaś z końcówek. Kszyk lecąc do góry lub poziomo nigdy podobnego głosu nie wydaje, bębni tylko w czasie spuszczania się z góry na dół pionowo, położywszy prawie koniec skrzydeł na ogonie, przodem zaś skrzydeł wirując czyli przerzynając powietrze z nadzwyczajną siłą. Kto bacznie ów objaw badał, nawet przypuścić nie może, by głos ów wychodził z organów głosowych, świadczy za tem pozycya kszyka, w jakiej się znajduje podczas wydawania tego głosu, świadczą ruchy, które każdego badacza muszą przekonać, że głos ten pochodzi ze skrzydeł w zetknięciu tylko z powietrzem, pióra zaś ogona wcale tu nie współdziałają. *Jan Ostrzechowski.*

P. R. W dopisku do korespondencyi p. O. nie mogliśmy szerzej o rzeczy mówić, wspomnieliśmy tylko, że jesteśmy adherentami twierdzenia prof. Altuma i Naumana, jako bębnienie kszyka nie wychodzi z organów głosowych. Sądzimy wszakże, iż mniemanie powyższe, że bębnienie powstaje w skutek nader szybkiego i silnego przecinania powietrza

lotkami, że przeto pióra ogonowe tylko w nader drobnej cząstce do tego głosu przyczyniać się mogą jest w zupełności zgodne z prawdą. O tyle zdaje się nam modyfikacya twierdzenia zacytowanych niemieckich badaczów przyrody być słuszną i konieczną. Zresztą poddajemy tę sprawę pod sąd i orzeczenie naszych myśliwych.

Myszkowce, 5 Maja.

Nie do uwierzenia, a jednak prawdziwe. Dnia 19 Września 1878 r. dałem panu Tabaczkowskiemu (ulica Cłowa Nr. 2 we Lwowie) strzelbę systemu Lankaster Werlika z dwoma parami luf, do przerobienia na system iglicowy. Pan T. oświadczył: „Proszę się spuścić na mnie, ja ją przerobię podług mojego systemu, a daję słowo honoru, że będzie Pan zadowolony. Strzelba będzie gotowa za sześć dni, za przerobienie zapłaci Pan 30 złr.“ Nie znając wartości honoru ani systemu pana T. przystałem. Po upływie dni 23 dostałem strzelbę, miała odłamany kawałek zamka, dwie dziury wywiercone w ładnym grawirunku zamkowym na śrubę trzymającą zamki, otwory dawnej, śruby haniebnie zanitowane, a w dodatku na pięć strzałów dwa do trzech zawodziło. Pan T. obiecał solennie, że to poprawi. W Kilka dni później otrzymałem pocztą strzelbę z powzięciem 30 złr., lecz taką samą, jaka była poprzednio. Będąc w parę dni we Lwowie oddałem panu T. strzelbę i zawarłem z nim umowę ustną, mocą której miał zatrzymać strzelbę, którą popsuł, a mnie zrobić nową. Gdy termina mijały a strzelba nie tylko zrobioną, ale nawet zaczętą nie była, zawarłem z p. T. pisemną umowę, w której się obowiązał w razie jeżeli nie zrobi za trzy miesiące strzelby, zapłacić 120 złr. t. j. wartość (podług jego oszacowania) wziętej do przerabiania strzelby. Termin upłynął, a strzelba jak dawniej nie zaczęta nawet, listy pełne zapewnień były szeregiem kłamstw, a ja ani strzelby ani pieniędzy ani nawet pokrowca na strzelbę od pana T. odebrać nie mogłem. To zmusiło mnie do wytoczenia procesu — proces wygrany, sekwestracya ruchomości przeprowadzona, lecz pokazało się, że ruchomości pana T. już pierwej i to kilkakrotnie na rzecz innych były sekwestrowane. Rezultat: w r. 1878 dałem strzelbę, za którą zapłaciłem 178 złr., byłem przynajmniej ze 20 razy na ulicy Cłowej Nr. 2, mam zapłacić koszta procesu i sekwestracyi, dopłaciłem 30 złr., i do dziś nie otrzymałem nic prócz pokrowca, który chociaż inny pan T. mi w Lutym t. r. oddał. Ogłaszam ten fakt, który dowodzi bezprzykładnej nierzetelności jakoteż nieznajomości sztuki rusznikarskiej pana T., aby każdy czytelnik „Łowca“ wiedział, że gdy da strzelbę panu T., to choćby dopłacił, może jej więcej nie zobaczyć, gdyż przerobi mu ją tak jak mnie to uczynił na własny od różnych ludzi praktykowany choć nie przez niego wynaleziony system. Jaki ta sprawa weźmie dalej obrot, ogłoszę w „Łowcu“. *Teofil Żurowski.*

Stańków, 30 Kwietnia.

Nie będąc członkiem Towarzystwa łowieckiego, nie mam właściwie prawa dawać rad, jednakowoż wyczytawszy sprawozdanie z obrad Waln. zgromadzenia Tow. łow., a mianowicie ustęp dotyczący kart myśliwskich, pozwalam sobie poczynić niektóre uwagi:

1. Karty myśliwskie powinni wydawać Marszałkowie powiatowi, nie starostowie, bo każdy marszałek będąc sam posiadaczem gruntu i polowania, najlepiej wie, komu można taką kartę udzielić lub odmówić.

2. Powinno być absolutnie wzbronione posiadanie strzelby nawet w domu pod odpowiedzialnością przełożonego gminy głównie z tego powodu, iż obecnie wielu jest właścicieli mniejszych posiadłości, którzy mają strzelby w domu, choć nietrzymają polowania. Ci wieczorem i do dnia wychodzą na zasiadkę pod lasy dworskie nibyto w celu odpędzenia dzików od kartofli, a biją, cokolwiek się nadarzy. Mam tego przykład żywy w majątku przezemnie administrowanym, gdzie chłopi tak robią. Udawałem się do Starostwa, które odrzekło, iż muszę zeznaniem dwóch świadków stwierdzić przestępstwo chłopów. Trudno śledzić kłusowników w towarzystwie dwóch świadków, ale taki podobno przepis prawny, więc moi chłopi mogą bezkarnie polować.

3. Zdaje mi się być rzeczą nieodpowiednią, by żandarmi mieli prawo żądać podczas polowania od każdego z myśliwych okazania kart myśliwskich. Naprzód może żandarm, zwłaszcza gdy chce dokuczyć, pełnić tę czynność w czasie gonienia, i popsuć polowanie, powtóre nieraz właściciel polowania zaprasza na polowanie swoich gości nie mających prawa polowania, lub synom nie posiadających kart myśliwskich podczas feryi szkolnych sprawia przyjemność, a żandarm przestrzegając ściśle litery prawa zabierze broń, a ileż to razy bierze się na polowanie ogrodnika, kucharza, lokaja itd., ciż i ci mają posiadać kartę myśliwską? Sądzę, iż właściciel polowania powinien mieć upoważnienie trzymania większej liczby strzelb i odpowiadać, gdy kto z jego strzelbą poluje, ale czyż zawsze może on żandarma o tem upewnić na miejscu mniemanego przestępstwa?

4. Ile jest w kraju starostw, tyle też marszałków powiatowych, którzy znając dokładnie stosunki miejscowe, i sami nieraz walcząc z kłusownikami, najlepiej będą umieli położyć tamę tępieniu zwierzyny. Wystarczałoby według mego zdania, gdyby marszałkowie tylko uwiadamiali c. k. Starostwa, komu, na jaką kroń i w jakiej ilości wydali pozwolenie. *G.*

11 Kwietnia.

Pożądanem byłoby, gdyby w łamach „Łowca“ podawano kwestye wątpliwe w zakresie łowiectwa, wyzywające myśliwych do objawienia swych zdań i spostrzeżeń. Robię w tej mierze początek zapytania: Czy sarna potrzebuje w kniei niezbędnie wody, i czy rosa może być dla niej wystarczającym napojem? *S. P.*

P. R. Rozwiązywanie wątpliwości różnorodnych w łamach naszego pisma jest niezawodnie nader pożądane i potrzebne, jak świadczy poruszona kwestya bębnienia kszyka. Co do wątpliwości wymienionej w powyższej korespondencyi stanowczo zdaje nam się twierdzić można, że sarny tylko w kniejach sąsiadujących z wodą stale się trzymają, że zatem bez niej żyć nie mogą, a rosa im wcale nie wystarcza,

Redaktor: Józef Łoziński. Adres: Władysław Zontak ul. Teatralna Nr. 18.

Z I. Związkowej drukarni we Lwowie, Hotel Zorża.